



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

DO MOTYLKA.

Miłe stworzenie, owadku boży,
W stubarwnej tęczy obłoku —
Bujasz w powietrzu leciuchny, hoży,
Pełen świetnego uroku.
Wijesz się, krążysz w falach błękitu.
To znów przypadasz do ziemi —
Nurzasz się pośród traw aksamitu,
Świecąc skrzydłami jasnemi.
Szczęsnys motylku! — Na krasnem łonie
Stulistnej róży usiedziesz,
Lilja ku tobie zapachem wionie
I miłość lilji zdobędziesz!
Cały dzień zmienny, lekki niestały,
Przelatasz z kwiatów na kwiaty —
Gdy cię sierpniowe znużą upały,
Kryjesz się w wonne róż szaty.
Tam osłoniony od słońca skwaru
Porzucasz wszelkich trosk brzemię —
Spijasz kroplami słodycz nektaru,
Ukryty w kwiatów haremie!
A tu, nad ziemią toczą się może
Chmur poszarpane całuny...
Wicher zniszczeniu uściela łożę,
Biją ogniste pioruny.
Ty czekasz chwili jasnej pogody —
Głęb' nieba staje się bledsza...
I znów ulatasz — dziecię swobody!
W błękitną ciszę powietrza.

Bujasz dzień cały, póki o zmroku
Nocy nie spadnie zasłona —
Wtedy się pojąc cudem uroku,
Rzucasz się lilji w ramiona.
Kołysze lilja, usypia wonia,
W swych czarów płacze cię mocy —
Kwiaty do koła zapachy ronią,
Dzwoni srebrzysto pieśń nocy.
Dzwoni pieśń nocy srebrzysto — cicha —
Sypie się światel kaskada...
To drzewa szumią, to wiatr gdzieś wzdycha,
To blask księżycy tam pada.
Sen... cisza... spokój! — W lilji kielichu
Słodkie cię tulą marzenia —
Szmerzy ziół wonnych szepcą po cichu,
Że świt już ziemię spromienia.
Budzisz się lekki, trzepoczesz w skrzydła,
Niema radości twej końca —
Znowu cię nęca barw malowidła,
Znowu się wznosisz do słońca.
Szczęsnys motylku! zazdrościć tobie
• Zdaje się ludziom potrzeba —
Lecz, kiedy uśniesz w malutkim grobie.
Co pozostawisz dla Nieba? —
Ani dla Nieba, ani dla ludzi,
Nic po twem niema przegonie —
Blaskiem barw nikłych życie twe ludzi,
Ożywcem tchnieniem nie wionie!
Bo — kto przecierpiał, kto zasług wianek
Ludzkości w darze poświęci —
Ten tylko — nieba, ziemi kochanek,
W wiecznej żyć będzie pamięci!
Kazimierz Gliński.

GARBUSKA.

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg).

XI.

W parę tygodni po jego wyjeździe Aniela, wyszedłszy raz z rana na lekcye, zauważyła, schodząc ze schodów, niezwykle ruch w kamienicy u rodziców. Jacyś ludzie w mundurach kręcili się po sieni z papierami pod pachą — w mieszkaniu ojca widziała także jakieś obce osoby coś piszące, — a gdy zaniepokojona spytała się, co to ma znaczyć, odpowiedziano jej, że to kommissya sądowa, że na górze u ojca sędzia śledczy wraz z panem kommissarzem spisują protokół.

Nie znając się wcale na prawnych procedurach, była pewna, że to jakiś nowy spis ludności, jak się to dawniej praktykowało, albo coś podobnego, i najspokojniej poszła sobie na lekcye.

Kiedy wróciła koło południa, Francuzka powiedziała jej, żeby zaraz zesza na dół do rodziców, bo już trzy razy po nią przysyłano, że się tam coś nadzwyczajnego stać musiało, bo matka płacze a ojciec desperuje.

Garbuska, tknięta jakimś złem przecuciem, zbiegła coperdziej do rodziców i rzeczywiście zastała matkę łkającą, załamującą palce — a ojca chodzącego po pokoju, desperującego i rwącego sobie włosy z rozpacz.

— Co się tu stało? — spytała, domyślając się czegoś strasznego — może śmierci czyjejs — ale czyjej — nie śmiała domyślać się, czy nie brata. — Co się stało? — powtórzyła widząc, że ani ojciec, ani matka nic jej nie odpowiadają, — ojciec chodził tylko po pokoju i jęcząc zawodził:

— O! lotr — o! gałgan — szubienicznik ostatniej klasy.

— Kto taki? o kim ojciec mówi? — dopytywała się.

— O nim, o nim, o tym twoim ukochanym szwagierku, — co nas zniszczył, zruinował, na dziady wyprowadził.

— Gdzież on jest? — pytała, nie mogąc się domyśleć, co się właściwie stało.

— Gdzie jest? — A czy ja wiem? — Uciekł gałgan, odleciał żony, dzieci — i nas zniszczył z kretesem.

— Jakto? mąż Józii?

— O! bodajbym był ręce, nogi połamał, za nim ją wydałem za niego! — biadał nieszczęśliwy.

— Ależ oni byli przecież tacy bogaci!

— Tak wszyscy myśleli, tymczasem to wszystko było kłamstwo, udanie, szelmowstwo — udawał gałgan pana za pożyczane pieniądze, narobił długów co niemiara i uciekł, oszukawszy żonę, zniszczywszy nas.

— A jakimże sposobem ojca? — spytała, nie mogąc zrozumieć dobrze w jaki sposób ucieczka szwagra przyczynić się mogła do ruiny jej ojca.

— Jakto? Jakim sposobem? — wsiadł na nią zniecierpliwiony jej niedomyślnością, — a te wexle? com mu podpisywał bez miary i zastanowienia, ślepo mu wierząc, a które teraz trzeba płacić a tu niema zkaąd, czem, bo dwie takie kamienice nie wystarczałyby na spłacenie tych długów. Wszystko pospisywali, zasekwestrowali, dom nie mój, meble nie moje — stółek, na którym siedzę, nie mój, nie — nędza, kompletna nędza — o! lotr, to mnie urządził!

— A żeby on z piekła nie wyrzwał za nasze nieszczęście! — wtórowała mu żona.

— A Józia? — spytała Anielcia — cóż ona na to wszystko?

— A cóż? — rzekła matka — siedzi i płacze biedactwo, bo ją ten gałgan zostawił bez niczego, z dwójkiem dzieci. Co ta biedna teraz pocnie? Co znoś musi! — wierzyciele zbiegli się jak kruki, wyją przed jej drzwiami, pięściami walą i wołają: oddajcie nam nasze pieniądze, złodzieje! Ot, czego się biedactwo doczekało.

Anielcia nie słuchała dalej. Dowiedziawszy się o smutnym losie siostry i jej dzieci, pobiegła co tchu do niej, by ją pocieszyć, coś radzić w tem nieszczęściu.

Z trudnością dostała się do niej, bo w samej rzeczy zamykała się przed wierzycielami, właścicielami depozytów naruszonych, którzy z całą natarcywością dobijali się do niej, sądząc ją współwinną i chcąc groźbą wydobyc choć coś od niej. Ale cóż ona im dać mogła? — Tę odrobinę klejnocików, które jej zostały, bo resztę zabrał jej czy też zastawił — w pierwszej chwili chciała i to oddać; ale matka wstrzymała ją od tak nierozsądnego kroku, perswadując:

— Siebie do reszty zniszczysz, a jego nie ocalsz... — zresztą przecież to twoje — jedyne, co masz — nie możesz tego dobrowolnie trwonić, jeżeli nie przez wzgląd na siebie, to na te sieroty. Argument ten przekonał Józję. Ukryła się więc w najodleglejsze pokoje, żeby nie słyszeć ludzkich przekleństw i złorzeczeń — i tam tonęła w łzach.

Anielcia dostała się do niej przez kuchnię od podwórza — nie chcąc jężyć świeżej rany, nie wypytywała ją o szczegóły, bo i tak dowiedziała się wszystkiego od ludzi. Mąż jej ludzi długo świat pozorami świetności, ratował się długami, licząc na jakąś szczęśliwą gwiazdę, budując zamki na wyborach do rady państwa. Wybory go zawiodły, grunt się osunął pod nogami i pan mąż runął pociągając do upadku tych, którzy mu zawierzili, a przedewszystkiem rodziców żony, którzy przez niego byli kompletnymi teraz bankrutami; nie zostawało im nic, bo kamienicę przenosiła wartość wexli a prócz tego nie mieli nic, prócz długów.

Anielcia jako praktyczna wszystko to rozważyła sobie na chłodno, a widząc, że i ojciec i matka i siostra, pod ciosem, który ich tak niespodziewanie dotknęło, całkiem potracili głowy i nie umieją nie tylko płakać i narzekać, wzięła się z całą energią do obmyślenia środków ratunku.

Przyszło jej najpierw na myśl, żeby udać się do rodziców szwagra, żeby oni choć dzieci zabrali do siebie; ale Józia objaśniła, że nie ma tam po co chodzić, że ojciec tam już był i jeszcze go zwymyślali, przypisując upadek syna i jego marnotrawstwo nieszczęśliwemu ożenieniu się, że to są ludzie zimni, egoiści, na których nie ma co rachować. Na tym punkcie więc nie było się co ludzi i trzeba było szukać innych sposobów ratunku.

Przedewszystkiem trzeba było obliczyć się z funduszami. Ona miała uzbieranych w kassie oszczędności z lekcyj i innych zarobków coś około tysiąca blisko, — klejnociki, które pozostały Józii, a które ona oddała siostrze do oszacowania, mogły być warte mniej więcej koło dwóch tysięcy — czyniło to razem kapitał trzech tysięcy, od którego w najlepszym razie można było mieć procent stopięćdziesiąt reńskich; lekcyjami mogła zarobić koło sześciuset reńskich rocznie, co stanowiło wraz z procentami dochód siedmset pięćdziesiąt rocznie — licząc do tego jeszcze sprzedaż robótek, pomoc jakątą od brata, można było przypuścić, że wszystkiego zbierze się do tysiąca reńskich. Było to niewiele, bardzo niewiele; na tyle osób, ale z biedą możnaby wyżyć, tylko trzeba było zmienić zupełnie dotychczasowy tryb życia — i porzucić coprędzej te świetne salony, które wymagały dużo służby, wydatków. A więc przedewszystkiem musiano pomyśleć o mieszkaniu.

Na szczęście w domu, gdzie mieszkał Piotr organista z żoną, były w podwórzu od tyłu trzy pokoiki z kuchnią do wynajęcia.

Garbuska zaraz ułożyła sobie, że w jednym będzie mieszkała ona z rodzicami, w drugim Józia z dziećmi a w trzecim Francuzka ze swojemi pieskami, bo ta się z nią nie myślała rozłączyć.

Dała więc zadatek i zajęła się najpierw przemianą kosztownych wspaniałych mebli na skromne, stosowne do nowego mieszkania. Zarobiła na tej operacji paręset guldenów — bo mogła sprzedawać tylko to, co było wyłączną własnością Józii, resztę wierzyciele zajęli w sekwestr.

Potem zajęła się przeprowadzeniem wszystkich członków rodziny do nowej siedziby. Było to nie tak łatwo. Rodzicom żal było dawnych dostatków — wygod, chcieli siedzieć na starym mieszkaniu, dopóki się da, dopóki ich nie wyrzucą ztamtąd. Anielcia musiała używać całej wymowy, aby ich przekonać, że takie przeciąganie prowizorycznego stanu nie ma żadnego celu, że prowadzenie większego domu naraża tylko na większe wydatki, których oni sobie w obecnym położeniu pozwałać nie mogą. — Rezolutna garbuska dowodziła jasno, rozumowała trzeźwo, bo o ile w marzeniach swoich była idealną, o tyle w życiu praktyczną.

Z Józją miała takąsamą o to przeprawę. Z trudnością udało jej się przekonać jednych i drugą, zmusić do stanowczego kroku, do natychmiastowego zerwania z przeszłością i rozpoczęcia nowego życia — skromniejszego, oszczędnego.

Z początku miała dużo pracy, zanim ich przyzwyczaiła do tej oszczędności, musiała walki staczać o każdy krajcar prawie, który chcieli bez potrzeby wydać. Nie robiła tego przez skąpstwo, żeby im załować miała, tylko poprostu z obawy, żeby im nie brakło na inne potrzebniejsze wydatki, — nie mogli zrozumieć tego i mieli żal do niej o to, nazywali ją skąpą, a rodzice nieraz po kątach popłakiwali na nią i mówili wzdychając, że to już ostatnia rzecz być na łasce dzieci.

Z czasem dopiero oswoili się z tem swoim położeniem i po bliższem rozpatrzeniu się przyznać musieli, że Anielcia dobrze radzi, że ona dla nich jest jedynym ratunkiem, zbawieniem, że gdyby nie ona, przyszłoby im dzisiaj wyciągać ręce po jałmużnę albo starać się do towarzystwa dobro-

czynności. Jedna tylko Józia przyzwyczaić się do tego nowego trybu życia nie mogła; z każdym dniem wydawało się jej ono wstrętniejszem nieznośniejszem. Pieszczona od pierwszej młodości przez rodziców, psuta pochwałami wielbicieli, otoczona wyszukany zbytkiem przez męża — nie umiała znoś cierpliwie ubóstwa. Wełniana, skromna sukienka przyprawiała ją o rozpacz — rękawiczki nie o szesnastu guzikach ły jej z oczów wyciskały; trudno jej się było obejść bez perfum — słowem: na każdym kroku czuła się nieszczęśliwą. Po całych dniach siedziała w domu, nieubrana, nieuczczona, rozmyślając nad swoim nieszczęśliwym położeniem, i nawet dzieci nie były w stanie wyrwać jej z tego apatycznego usposobienia, w jakie wpadła, — nie dawała się namówić do wejścia, bo wstydziała się pokazać na ulicy piechotę, bez lokaja, w starych trzewikach.

Raz namówiła ją Anielcia, że wsadziwszy dzieci do wózecka — był to jedyny zbytkowny sprzęt, jaki im został z lepszych czasów — zatoczyły go w ustronny kąt plantacyi. Dzieci ubrane były jeszcze w dawne eleganckie sukienki, wózecek także był niesłychanie ozdobny, wszystkie więc służące, które tam były, brały je za bony, nianki tych dzieci — i jedna z pań nawet przyszła zapytać je: czyje to dzieci? — Anielcię bawiło takie *qui pro quo*; ale Józia czuła się tą pomyłką przygnębianą, upokorzoną, wołała jednak to, niż żeby ją poznano, że to ona, ta dawna elegantka, wielka pani i drżała z obawy, żeby się nie spotkać z którą z dawnych znajomych.

Zdarzył się, że jednego dnia rano, gdy wracali z kościółka, jakiś pan przystojny, modnie ubrany, przypatrzawszy się jej uważniej, ukłonił się potem jeszcze obejrzał się za nią, nie będąc pewny, czy się nie pomylił, Józia mała się ze wstydu nie spaliła — poznałszy w nim barona Ehn, przyjaciele jej męża. — Przez dwa tygodnie potem nie ruszyła się z domu, obawiając się podobnego spotkania. — I potem jeszcze, jeżeli wychodziła, to o zmroku albo wieczorem, aby nie być poznaną.

Raz poszły obie z Anielcą w porze, kiedy już zapalano latarnie, do sklepu za sprawunkami, bo miały robić razem z ciotką ciepłe pończoszki, spodniczki i kaftaniki dla dzieci na zimę. Anielcia zaproponowała pierwsza szycie tej wyprawy dla maleństwa głównie dlatego, aby siostrze wyszukać jakie zajęcie, bo widziała, że się nudzi okropnie, co oddziaływało bardzo niekorzystnie na jej zdrowie i humor. Sądziła, że nie może dla matki być przyjemniejszego zajęcia, nad pracę dla dzieci własnych, że ją ta praca zajmie, ożywi, rozweseli. Tak się też rzeczywiście stało: Józia, skoro dostała do rąk tygodniki mód, które Anielcia prznosiła do domu, aby wyszukać odpowiednie wzorki dla dzieci, zajęła się niemi bardzo i przeglądała je skwapliwie, bo to przypominało jej lepsze czasy, gdy wspólnie ze swemi znajomymi w eleganckim saloniku odbywała długie konferencje, narady z takimi tygodnikami w ręku, wybierając z nich odpowiednie dla siebie toalety na sezon wiosenny, kąpielowy, jesienny, balowy — na rano, na wieczór, na każdą porę dnia. Ciekawa była zobaczyć, jakie tej jesieni będą nosić okrycia, jaki kolor będzie modny, czy będą ubierane kapelusze kwiatami, jak zeszłego roku, czy piórami. Zajmowało ją to więcej jeszcze niż dziecinne ubrania, choć wiedziała, że z tych mód przecież nie będzie mogła korzystać, a może dlatego właśnie jeszcze więcej ją zajmowały; przypatrywała im się z takim zachwytem, jak biedak bogatej wystawie jubilerskiej — i byłaby Bóg wie jak długo tak patrzyła, gdyby Anielka nie była jej sprowadziła na właściwe tory, wskazując ubrania dziecinne i radząc, które z nich wybrać dla Jadzi i Zosi. Obrachowawszy wiele na co materiału będzie potrzeba, wybrały się raz wieczorem na zakupno tychże.

Po drodze wstąpiły także do jednego sklepu dla zaopatrzenia się w drobiazgi kobiece, jak nici, igły, bawełna, guziczki, — kiedy docisnęły się do lady, obłożonej przez kupujące panie, jedna z tych pań, spojrzawszy przypadkiem na Józję, nazwała ją po imieniu i przywitała z okrzykiem przyjemnego zdziwienia. Była to pani Lubka,

znana z excentrycznych toalet, excentrycznego zachowania się, excentrycznego charakteru — excentrycznego pożywania z mężem, z którym się ostatecznie rozeszła — i której dlatego bano się, unikano, a która mimo to bywała wszędzie, żyła ze wszystkimi, co jej nieprzeszkadzało wcale obmawiać wszystkich znajomych bez litości. U Józii Chwilowskiej bywała także, kochała się nawet w jej mężu, jak się sama przyznała, przez pół czwarta dnia, ale się potem rozczarowała do niego, zobaczywszy u niego poogryzane paznokcie i affekt swój przeniosła na jego żonę, którą przez parę tygodni zameczała swoją sympatią, dopóki sobie jakiejś innej ofiary nie wyszukała.

Józia, zobaczywszy tę dawną znajomą, która jej najświetniejsze czasy przypominała, zmieszała się, pokraśniała żywym rumieńcem i chciała jak najprędzej usunąć się jej z oczów; ale Lubska nie pozwoliła na to, przyczepiła się do niej, wyszła z nią razem ze sklepu i idąc szczebiotała bez ustanku jak kanarek, nie dając jej prawie do słowa przyjąć.

— Józio, na miłość boską, co się z tobą dzieje, gdzie się podziewasz, nigdzie nie pokazujesz? czy wyjeżdżałaś się? zagranicę może? — mówiła samemi zapytaniami, których zawsze rzucała bez liku, nie czekając odpowiedzi na nie. — Józia zaledwie miała czas odpowiedni jej, że nigdzie nie wyjeżdżała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY

XCV.

Szwagrowie, sztuka ludowa w 6-u obrazach a 8-u odłonach, ze śpiewami i tańcami *Adolfa Dygasińskiego*; muzyka *K. Nowackiego*. — **Wesołe życie**, sztuka w 4-eh aktach, ze śpiewami, *Franciszka Donnika* (Dorowskiego); muzyka *Michała Świerzyńskiego*.

Czy *Kuba Gąsior* z nowelli dopiero wszedł w dramat, czy też odrazu już w głowie autora przyoblekł się w draperie dramatyzmu — w niczem to na jego charakterystykę nie wpłynię: jest i będzie on tylko powiastką na scenie. Autor pierwszy raz spróbował swych sił w sztuce dramatycznej i pierwsza ta próba wcale mu się nie udała, a tem mniej udać się mogła, że z własnej swej winy oddał się jakby w zawzięcie dwóm mocom wrogim: kompozytorowi muzycznemu i sprzedawcy nektaru gambrynusowego. Dla pierwszego musiał dorabiać sceny i śpiewki pod melodją; dla drugiego jaknajczęściej urządzać widownię przygód i czynów w karczmie i pozwalać swym ludziom na sowite mazurki, obertasy i wszelakie wyrwasy, zrzekając się drogiego czasu i miejsca na rzecz baletmistrza, p. Lucyana Owerły i znowu stojącego poza nim kompozytora. Przy podobnej metodzie, przy braku wprawy i gorszym jeszcze braku nerwu dramatycznego — nieuchronnie w miejsce utworu powstać musiała *robota*. Takie nad innymi panujące wrażenie wynosi się ze sztuki, zwłaszcza gdy się zna powieści p. Dygasińskiego z życia ludu (bo nie *ludowe*, nie *dla* ludu, ale *o* ludzie); gdy się przypomni dużo dobrych rzeczy w *Panu Jędrzeju Piszczalskim* i znakomitą analizę psychiczną w *Wilkach, psach i ludziach*.

Szwagrowie nie są nawet *robotą* staranną — nie; o takich, jak sztuka p. Dygasińskiego, mawiali niegdyś ojcowie: „sobotnim sztychem na niedzielny targ“. Nic mnie to nie obchodzi, że inni, nie mogąc pochwalić dramatyzmu, chwalili psychologią sztuki, nic i to, że jedyne rzetelne dukaty wśród samych liczmanów krytyki teatralnej w Warszawie, nie posiadały się z radości na wi-

dok takiego bogactwa objawów życia ludowego. Dla mnie i jako psycholog p. Dygasiński wcale w *Szwagrach* niczem oryginalnym a wybitnym nie zajaśniał. Mylić się mogą, ale idę za przekonaniem swoim. Zaciekawiony, patrzyłem, wyteżalem wzrok i słuch, skupiłem myśli w jeden punkt i czekałem nowości, siły, bujności, charakteru, ostrego jakiegoś *oxymoronu* — czegoś, pod czemby czuć było drżenie i falowanie talentu rwącego się do czynu: nic z tego wszystkiego. Autor powtarzał samego siebie, a powtarzając, jakże często był niższym i od Anczyca i od Galasiewiczza! Nie znać w *Szwagrach* autora *Beldonka*, któremu, jak wszystkim zresztą p. Dygasińskiego, szkodzi rozwlekłość, ale gdzie są przepyszne i postacie i sceny i przemówienia ludowe. W całej sztuce, pod względem pogłębienia psychologicznego, wytazistości, swobody i logicznego związku rysów duchowych, godną jest Dygasińskiego tylko miłość sołtysiaka dla Marysi. Pozatem same zużyte pospolitości — przerywane jakąś piosnką, tańcem, modlitwą, wychyleniem półkwaterek i gonitwą po karczmie. Słuchało się tego z przykrością, że taki pisarz na nic lepszego zdobyć się nie chciał.

Zaluję bardzo, że mi brak miejsca na szczegółowe uzasadnienie sądu nie pozwala; przeglądy teatralne nie mogą być studjami, a chcąc przekonać autora o ułomności jego sztuki, trzeba by studyum całe napisać, do czego i sam brak tekstu stoi na przeszkodzie. Zapominam na chwilę, że p. Dygasiński popełnił dramat: pamiętałać chcę tylko o tem, że napisał coś, do czego wchodzić ludzie żywi, życiem swem naturalnem, społecznym i towarzyskim żyjący, wzięci tylko ze świata rzeczywistego i wprawieni w ramy tej czy owej sztuki — dramatu czy nowelli, której na ten raz gotów jestem nawet przyznać godność jakiejś typowej formy artystycznej, jaką ona wcale nie jest. Czy można zgodzić się na taką psychologią, która zpomiędzy wielu rzeczy mniej i więcej prawdopodobnych, wybiera mającą najmniej prawdopodobieństwa? Czy można bez rozumowego wstępu patrzeć, jak karczmarz, bez żadnej pobudki wykwalifikowanej, bez widoku bezpośredniej korzyści, jakaby mu zapewnić mógł tylko fakt ściśle określony — w ogólnikowej jedynie nadziei, że jeśli zięciowie zabiją teścia, to majątek utopia w jego karczmie — namawiał do zabójstwa i nawet stawał się intelektualnym sprawcą przestępstwa? Czy jest w tem prawda? Czy żądza zabójstwa w obu łotrach mogła dojrzeć w takich warunkach, w jakich dojrzewać jej kazał autor i na takim poziomie namiętności, jaki nam w obu duszach łotrowskich ukazał? Czy była konieczną, nieuniknioną? Toć przecież bliższą, łatwiejszą i bezpieczniejszą mieli drogę do pieniędzy Gąsiora i Siara i Maśloch przez kradzież, niż przez morderstwo, ani stanem zapalczywości i nienawiści, ani reakcją przeciw oporowi nie usprawiedliwione. Nieczyste źródło majątku starego — zagarnięcie potajemne spadku po bracie — samo z siebie wydaje motyw sprawiedliwości odpłacającej, a tymczasem w przebiegu życia udratymowanego motywu ten wcale nie występuje. Palimżak, pomyślany według zasadniczego typu *Kopciuszka* i *Głupiego Janka*, a nie nowy ani w sztukach ludowych, ani w melodramatach, w utworze p. Dygasińskiego ma tak nikłe rysy indywidualne, jest tak ubogim w siebie, że nowelli nie wystarcza, a w dramacie, mając być niby biczem sprawiedliwości, jest właściwie pacholęcym tylko biczykiem do zabawy tłumu. Tak samo *Krzywezyk*, wróż i lekarz, tłucze się w utworze jak kobiałka za wozem; miał być, równie jak *Szum*, karczmarz, czarnym charakterem: jest tylko gadatliwym nudziarzem, bez żadnej innej własnej namiętności — prócz pociągu do gorzałki. Wszystkie też postacie kobiece, z wyjątkiem Marysi Gąsiorówny, marne, statyczne, hieratyczne. Jest to ciągle malowanie, niestaranne, pośpieszne nakładanie farb niezawsze dobranym pędzlem — najczęściej kwaczem. Ot, tak sobie, improwizacja. A co za temat do niej! Same łotry i głupcy; garstka dobrych — niedołączani. I ma to być obraz ludowy!

Nie będzie to wielką pochwałą dla utalentowanego autora tylu powieści, a zwłaszcza jakiej

może już pół setki powiastek, że w jego *Szwagrach* ludzie dobrze, zręcznie i dosadnie mówią; ale pochwała ta w każdym razie należy się p. Dygasińskiemu. Jest jeszcze w sztuce dobra jedna piosnka Marysi Gąsiorówny, na osnowie ludowej zgrabnie utkana. O innych powiedzieć nie można, żeby były dość charakterystyczne, chociaż nie braknie im wyrażen dobitnych, obrazowych, a oczywiście nie przeznaczonych do wywoływania obrazów idealnych. Idealizowania nawet p. Witkiewicz — gdy granice swego państwa krytycznego rozszerzy i do posiadanych już krain malarstwa i rzeźby przyłączy dziedzinę sztuki słownej — nie będzie mógł autorowi *Szwagrów* zarzucić. Prawda p. Dygasińskiego jest prawdziwą prawdą — kawą nie figową Brandesa: *weryści* i *naturaliści* i *realiści* w siódmem niebie. Tylko, że prawdę tę chwytą oko zmysłowości, aby też nic więcej prócz zmysłowości i wynikająco z niej znikczemnienia nie widzieć. Jeśli to ma być wiernem odbiciem życia — w takim razie życie nie dotrzymuje wiary samemu sobie. W życiu jest dobre i złe, są i światła i cienie, i zwierzę i człowiek, i anioł i szatan, w ustawiczny m ruchu i przewijaniu się; jest ciąga jednego z drugim walka, tocząca się nawet poza obrębem sa mowiedzy ludzkich. Przedstawiać życie wiernie — to nie znaczy malować koniecznie z takiej odległości, żeby na obliczu widać było najdrobniejsze piegi, zmarszczki, brodawki i nawet pory skóry; ani też taką metodą, żeby człowiek, zwłaszcza zbity w gromadę ludu, występował w swym jedynie tylko rodzajowym, ostatecznie zwierzęcym, bycie. Prawda życia jest obszerniejszą, większą i dostojniejszą od prawdy pewnej tylko podpatrzonej życia strony, takiej właśnie, jaką nam daje p. Dygasiński w *Szwagrach*. Do prawdy życia należy i człowiek opierający się swym popędem, wzbijający się nad swą rodzajowość, zorganizowany w pewien kryształ duchowy, — człowiek, nie cząstka ogólnej natury, nie pył świata, ale sam natura poszczególna, świat w sobie zamknięty. Z takim człowiekiem tylko ma do czynienia dramat — najwyższa i najtrudniejsza ze sztuk pięknych, sztuka tak podniosła, że tysiąc pięknych obrazków rodzajowych nie przeważą jednego rdzennie dramatycznego charakteru. Nie można być dramaturgiem rzetelnym, jeżeli dany stan umysłowości nie pozwala na wiarę w samoistność człowieka, a twórczość nie lgnie do istot samoistnych, istniejących własnym swoim prawem i występujących jako pewne siły duchowe, wyodrębnione od innych. Oddychamy powietrzem ogólnem natury, społeczeństwa, zwyczaju, obyczaju, wiedzy lub nie-wiedzy; ale to powietrze nie daje nam tego, co każdy z nas w sobie jako istotę swą odczuwa: dusze nasze nie są prostą pneumą, cząsteczką oderwaną od stoickiej czy bramańskiej duszy świata. W *człowieka* wierzyć musi dramaturg, aby mógł nietylko pisać, ale i tworzyć dramata; bo są dzieła jedynie tylko pisane, a nie tworzone: do napisania dramatu dość być pisarzem nowelli, czy innego jakiego rodzaju, do utworzenia dramatu potrzeba być już rzetelnym dramaturgiem. Gdy się nim jest, świat cały przyjmuje się w siebie i wyrozumiewa tylko pod postacią dramatu. Dramatyzowanie jest potrzebą takiego umysłu. Czy wspaniałe życie kosmiczne, czy skromne wykluwanie się zdźbła trawy, czy całe życie natury poza człowiekiem — wszystko w takim umyśle się układa w typ dramatyzmu. Taka już jego natura.

Odegrało *Szwagrowie* towarzystwo dramatyczne p. Łaskiego w Eldorado warszawskim. Chociaż to tylko trupa prowincjonalna, skazana na wiekuiste wędrowanie za życia, wiekuisty brak publiczności i tego, co daje publiczność; chociaż artysta prowincjonalny, jako taki, musi być zawsze i wszędzie *do wszystkich*: powinien nietylko grać, ale jeszcze tańczyć i śpiewać i dobrze jeśli od niego sztuk magicznych nie wymagają — pomimo takich nieprzyjaznych dla życia i rozwoju warunków, trupa eldoradowa, przybyła do Warszawy z Płocka, odegrała sztukę p. Dygasińskiego tak dobrze, że i na warszawskiej scenie nie przedstawionoby jej lepiej, a obawiać się potrzeba, czy nie przedstawionoby gorzej. Na wyróżnienie zasługują: wyborny w charakterystyce, opasłej dumie i chciwości skąpiec, *Kuba Gąsior* p. Swary-

NOWINY PARYŻKIE.

W Czerwcu 1891 r.

czewskiego; jego córka, Marysia, odegrana przez p. Łaską, artystkę powabną, a rzetelnie uzdolnioną do sceny; jej siostra, Jaga, żona Siary (pani Zielezińska), z wyrazistemi, pociągłemi rysami twarzy, dobra w oddaniu i fizycznych i moralnych cierpieniach; Palimaka, parobek w karczmie Szmula. i sam Szmula — pp. Halicki i Rożański. Pięć osób w jednej sztuce, i jeszcze w trupie prowincjonalnej — dostateczne to świadectwo doboru i wartości sił w gromadce teatralnej p. Łaskiego.

Teatr poznański w Wodewilu nie pozwolił być p. Dorowskiemu dłużej ukrywającym się przed ostrowidzowemi spojrzaniem artystarchów „Domnikiem“: na afiszach w nawiasie podał prawdziwe nazwisko autora *Wesołego życia*. Wyznają szczerze, że lepiej było pozostawić twórcę tej sztuki nadal w roli skromnego fiołka. Sztuka podobno była napisaną w Krakowie i znalazła tam powodzenie. Nie umiem go sobie wytłumaczyć; nie mogę pojąć, jak utwór tak jeszcze surowy, że nieomal naiwny, zdołał sobie czyjeś uznanie zaskarbić. P. Maciej Chrustalski występujący w sztuce, ma dwie córki: Basię i Małgorzatę (*sic!*); p. Zawiejski zaś, nie występujący w sztuce, bo umarł przed jej napisaniem, miał dwóch synów: Zygmunta i Stanisława. Obie córki są dobre, zwłaszcza Małgorzatka; z dwóch synów jeden dobry, drugi zły. Dobry, Zygmunt, dokończa egzaminów na lekarza i szczęśliwie je zdaje; zły, Stanisław, jest rzemieślnikiem, pracującym u p. Chrustalskiego, ale pije i hula i za pieniądze sprzedaje sumienie swe przeciwko własnemu bratu, który był dla niego dobroczyńcą. Obaj się kochają, jeden w jednej siostrze, drugi w drugiej: dobry w Basi, zły w Małgorzatce. Pierwszemu wchodzi w drogę niejaki Mruczkowski, stary lichwiarz, wyciągający łapę po młodość i kamienicę z zapisu ciotki czy babki; drugi sam sobie drogi krzyżuje, ale go zbawia — p. Dorowski, nakazawszy Małgorzatce tak silnie do serca mu się wżreć, żeby i sumienie już sprzedane mógł odkupić i cześć odzyskać i hymenem (w akcie V) miłość swą uwieńczyć. Stary Mruczkowski nie znajduje lepszego sposobu i lepszego narzędzia intrygi, nad okłamanie Basi przez Stanisława, *ad hoc* zapłaconego, że Zygmunt jest hulaką, niegodziwym hulaką. Stanisław spełnia swe łotwostwo popijaniem i wywołuje w gniewie oka pożądany skutek: Basia w gniewie i rozpacz oddaje swą rękę lichwiarzowi, — bez zębów, ale z peruką. Stanisław, nawrócony przez miłość, w trzecim akcie pada w objęcia brata, którego za sto papierków był oczernił, w IV-tym jest już dobrym geniuszem sztuki, wyjaśnia wszystko i kończy przywróceniem harmonii przedustawnej. Wszystko to dzieje się w dwóch aktach, bo w pierwszym ludzie p. Dorowskiego nie robią, tylko spacerują, jedzą i piją; w trzecim zaś, aż do rozmowy między braćmi, studenci śpiewają i gadają różne wesołe rzeczy — zkaż nazwa sztuki. Najlepszą właśnie w dramacie jest ta część aktu trzeciego, która wcale do dramatu nie należy, a zasługę ma tu głównie autor, nie dramatu, ale muzyki, p. Michał Swieszynski. Po stać Filipa, odmienna od Filipka fredrowskiego, wcale nie zła. Całość sprawia wrażenie wina, które ciągle fermentuje i nieprędko jeszcze doczeka się tego, aby w niem ludzie smakowali. Naiwność roboty występuje najwyraźniej w akcie IV-tym, wprost niemożliwym. Autor nie zna jeszcze człowieka, nie wyrozumiewał mechaniki jego namiętności, nie pojmuje istoty uczuć, nie ma wyobrażenia o związku przyczynowym w świecie zjawisk psychicznych. Czas może jeszcze dać wiele, ale tylko czas sprzymierzony z pracą, skromnością i trzeźwą, surową krytyką, jakiej dzieła autora od niego samego wymagać mają prawo.

Stanisław Krzemiński.

Smutny początek lata i powrót słońca. — Zabawy paryżkie. — Bezrobocie i procesy kryminalne. — Niedowiarstwo i zwrot do życia religijnego. — Wystawa artystyczna na Polu Marsowem. — Koszta urządzenia. — Artysty i ich dzieła wśród zbytowej wystawy. — Impresyoniści — i odrzuceni (*Réfusés*). — Konkluzya — Co się dzieje w Akademii Francuzkiej. — Wybór nowego członka p. Viraud. — Krzyki i sarkania na ten wybór. — Premium dwuroczne 20.000 franków. — Sąd akademii. — Niezadowolone opinie publicznej. — „Bóg“ nowa książka Wiktora Hugo. — Dwa tomy satyry na poetę. — Nagła śmierć Kalmanna Levy, wydawcy Hugo'a — i poety prowansalskiego Roumanille'a.

Większa połowa Czerwca odznaczyła się tego roku przykrą niepogodą. Zimno jak w czasie głuchej jesieni — deszcz, wilgoć, burzliwe wiatry — przecież wyszliśmy z tej pluchy i od dni kilkunastu mamy słońce i piękną pogodę, chociaż atmosfera i dotąd zmienna i burzliwa. Cierpiących na reumatyzm pełne szpitale.

Paryżanie mieli czem się zająć. Oprócz rozmaitych wystaw sztuk pięknych, które mniej ich zajmowały w tym roku, niż dawniej, z powodu może, zbyt wielkiej liczby — było co położyć na ząb, jak to powiadają: sprawy bezrobocia szerzą się jakby zaraza jaka. Po bezrobociu omnibusów, bezrobocie piekarzy, najdziwniejsze wymaganie macznej demokracji, domagającej się — trudnoby było odgadnąć: czego? — Oto zamknięcia i zniesienia tak zwanych *Bureaux de placement*, agencji rekomendujących, szukających miejsca i pracy. Urządzenie legalne i prawne *syndyków*, którzy zastępują dawniejsze *cechowych* — ma dziś wystarczać — z tem pogorszeniem, dla majstrów, że robotnika wziętego od syndykatu, nie ma prawa wydalic i zmienic, bez upoważnienia tegoż syndykatu! To bezrobocie kapnęło wprawdzie — ale, jak mówią, odżyje niedługo. Była też i sprawa *melinitu* — nowa materya palna — i konszachtów o sprzedanie sekretu — obcym mocarstwom! Słowem było o czem pogadać.

Dziwny to kraj, ta Francya! Ile tu niewyczerpanych źródeł, dobrego i złego — ile lekkomyślności i pustoty obok najnowszej cnoty przykładów!.. ile pobożności obok niewiary!.. Dlatego sąd o niej, nietylko jest trudny, ale niemożliwy prawie, i potrzeba głęboko się zastanowić, kiedy się ma mówić o ludziach i rzeczach tutejszych — lepiej więc zdawać tylko sprawę z tego, na co się patrzy i nie szukać syntezy, której wszystkie części są tak dziwnie skomplikowane, że i najbystrzejszy umysł nie podoła trudnemu zadaniu..

Oto nowy przykład, jak łatwo można się omylić, sądząc z tego, co może uderzyć nasz umysł w rozwoju życia duchowego całego narodu. Tacy ludzie, jak Wiktor Hugo, Gambetta, Juliusz Ferry — uważali całe swe życie i wypowiedzi głośno, to przekonanie, że wpływ religijny we Francyi, albo jest skończony i żaden — albo jest szkodliwy dla postępu narodu! Tymczasem, z każdym dniem, z każdą godziną, konstatajemy fakta przeciwne temu, co głosili koryeusze indyferentyzmu!

W ostatnim liście mówiłem już o wystawie Sztuk Pięknych w pałacu przemysłowym na Polach Elizejskich; dziś kilka słów wypada powiedzieć o wystawie Towarzystwa Narodowego (*Société Nationale*) na Polu Marsowem, w gmachu pozostałym po wystawie powszechnej zeszłego roku.

Możnaby tu szeroko się rozpisac o użyteczności tej podwójnej wystawy, ale że to jest kwestya czysto miejscowa i powstała wskutek osobistych widoków i sposobu widzenia wybitniejszych osobistości, którym, jak nieboszczykowi Meissonierowi, było zaciasno w Towarzystwie Artystów z Pól Elizejskich, zostawiam to na stronie, jako

niemające wielkiego znaczenia dla szerszej, dalekiej i obcej publiczności, a dodam tu słów kilka o urządzeniu samej wystawy, co nam wyświetli zamożne stanowisko tutejszych artystów, a zatem i położenie sztuki.

Zbytek, przepych w urządzeniu salonów, jak tu nazywają Wystawę Sztuk Pięknych, doszedł do najwyższego stopnia — powiedzmy prawdę jasną — rozrzutności! Stowarzyszenie Artystów Francuzkich z Pól Elizejskich wydało w tym roku przeszło pięćdziesiąt tysięcy franków na upiększenie wewnętrzne pałacu Przemysłowego; natychmiast grupa Artystów z Pola Marsowego wyznaczyła sto tysięcy franków dla swoich. Już z ogłoszenia tylko takiego wydatku Stowarzyszenie Narodowców mogło być pewne, że olśni publiczność i sprowadzi ją w swe mury, choćby te pozostały nawet bez obrazów. Tak miano dawniej przykład sławnych schodów Wielkiej Opery, które tłoczono się oglądać, nie dbając o to, co się tam działo na scenie z muzyką!

Ta rozrzutność kosztów urządzenia nie jest bynajmniej przyjazną wszystkim artystom. Piękne obrazy, które są zawsze w mniejszości, zyskują na tak świetnym otoczeniu; obrazy mierne, które przeważają większością liczby, trzymają się jeszcze jakotako — ale dla obrazów stojących pod tą miernością, to prawdziwy upadek, fiasco! A tych nie brak nam wcale, niestety!..

Ledwie rok upłynął, już Stowarzyszenie Narodowe zalane jest dziełami bez żadnej wartości. Członkowie Towarzystwa nie są to bynajmniej orły, przynajmniej nie wszyscy wyglądają na sokołów. Są zapewne tu i owdzie prawdziwe talenta, ale znajdują się też i pawie z przyprowadzonym ogonem, a nawet i wrony. Jedni, jak drudzy, nie są ograniczani, co do liczby przesyłanych obrazów na wystawę. Ztąd wielu, korzystając z tej łatwości, nadużywa pozwolenia, aby dostarczyć, obok kilku obrazów, pobieżne szkice, błahe notatki, które sprawiają dziwne wrażenie tam, gdzie nam obiecano wybór.

Dowiedziona więc dziś jest rzeczą, że mamy dwa salony główne, bo są jeszcze podrzędne, jak np. Niezależnych i Odrzuconych. W obudwu ludzie z prawdziwą wartością artystyczną, ale również w jednym jak w drugim dzieło prawdziwej wartości jest *rara avis*; to, co się zowie *aurea mediocritas*, przeważa liczbą i w ostatku jest jeszcze ze trzysta obrazów zanadto na Polu Marsowem.

Można mi może zarzucić, że jestem zbyt surowy w swym sądzie o Odrzuconych. Ale co daje w pewnym względzie racją ich domaganiem się i protestem, to owa niska wartość pewnej części obrazów, które zostały przyjęte niewiadomo dlaczego w jednym i drugim obozie.

Kiedy ci sędziowie okazali się z jednej strony tak pobłażającymi, stracili wszelkie prawo z drugiej strony być zbyt surowymi. Jeżeli Wolny Salon, jak go nam zapowiadano, przynosi pewne odkrycia, pewne i niezbite dowody niesprawiedliwości Jury, powiedziałbym to otwarcie; ale ten sławny sąd przysięgłych nie jest tak wolny, jakby się zdawało, kiedy potrzeba zapłacić dwa franki, aby mieć prawo być przyjętym na wystawę, cztery franki, aby być umieszczonym nad dolną listwą salonu, to, co się tu zowie *La Comaise*, a ośm franków za cztery ramy przybite wyżej. W ten sposób nie widzę dobrej racyi, aż do nowego postanowienia w tym względzie, aby zastąpić Jury opłatą sześciu dwufrankówek..

Teraz wyliczać obrazy, mianować artystów, wskazywać dzieła, których moi czytelnicy nie widzieli i widzieć nie będą — uważam za rzecz zbytęzną. Że tacy artyści jak Stevens, Carolus Duran, Gervin i t. p. znakomite zajmują miejsce, to rzecz znana i oklepiana nawet. Francuzi, jako technicy, prześcignęli wszystkich. Dosyć jest widzieć pani Magdaleny Lemaire: *Five, Porzeczeki, maliny i truskawki, Brzoskwinie i Winograd*, żeby przyznać, że to jest ostatnie słowo biegłości niezrównanej pędzla i aby zrozumieć, dlaczego obok takich mistrzów nie mogę wiele powiedzieć o pana Gierymskiego „Żydach modlących się nad Wisłą“, których znacze zapewne. Wolę się więc nierozszerzać bardziej, a chciałbym tylko w kilku słowach dać wam wyobrażenie i sąd bezstronny

o obu salonach, z których pierwszy już dziś jest zamknięty, a drugi będzie 15-go Lipca.

Dziś, jak było zawsze. Szkoła Francuzka obfituje w artystów wielkiego talentu i może łatwo dostarczyć dzieł pełnych blasku, nietylko na dwie, ale i więcej wystaw. Ale nie chodzi tu wcale o tych, co już dali dowody talentu i zdolności; zajmują nas ci, co stanowią przyszłość sztuki, młodzi i ich usiłowania czynione w rozpoczynanym dopiero zawodzie.

Przystoi zapewne młodzieży, choćby nawet zuchwale dążyć do wyższych i jaśniejszych sfer ducha, szukać postępu. Zgadza się, że taka doroczna wystawa nie zawsze może zaspokoić tę chęć i gotów jestem poprzestać na obietnicy postępu. Otóż muszę wyznać, że tego młodzieńczego polotu nie spotkałem tu wcale. Być może, iż wpływ akademicki przeszłych Salonów wpłynął zbyt mocno na umysł młodych artystów, popychając ich do wielkich i szerokich przedsięwzięć. Ale to, co dziś panuje w obu Salonach, jest to pogoń za malutkimi, prawie już mikroskopijnymi obrazkami. Ta zdrobniała sztuka, w której się zaspakaja byle czem, byle tylko pokazać swoje techniczną biegłość — jest to prawdziwie mała sztuka. Powiedzą kiedyś o tych dziś młodych artystach, tak biegłych, aby schwycić małeńki, drobny kąt życia, tak wprawnych, aby go oddać w pełni — powiedzą, że oczy ich były większe od mózgu.

Konkluzya, jaką można wyciągnąć z tych moich spostrzeżeń, nie jest wcale przychylną, ani jednej ani drugiej z dwóch tegorocznych wystaw sztuk pięknych w Paryżu. To, co się uwydatnia jeszcze w tem rozdarciu artystów francuzkich, jest to, że każdy z dwóch salonów, stracił coś ze swej siły narodowej sztuki. Owóż ta sztuka nie jest ani w na Polach Elizejskich, ani na Polu Marsowem, jej chwała, jej wielkość, jest to zjednoczenie w jedną wiązaną wszystkich narodowych talentów, i przyjdzie ten dzień, gdy scysła skończy się sama przez się wobec wspólnego niebezpieczeństwa. Bo rzeczy tak poszły i stanęły, że chociaż jest to zajmujące i pociągające publiczność, przeciw każdy z dwóch salonów czyni ubytek jeden drugiemu: lepiej-by mniej obrazów, ale wybranych skrzętniej.

Co do wystawy Odrzuconych, jedno tylko można powiedzieć, że ta wystawa potwierdza sąd, który odrzucił te bazgraniny dziecinne. Dwa miejsca zostały próżne, administracya kazała zdjąć obrazy, bo były przedstawieniem uwłaczającym, jedno całemu ministeryum, drugie Juliuszowi Ferry'emu. To jedno wyróżniało je, od spokojnych sfer prawdziwej sztuki, i to musiało zniknąć, jako niedołączony paszkwil.

Zwykle ciche i spokojne życie Akademii Francuzkiej, zakłócone zostało w ostatnich czasach dwoma wypadkami, które ściągły bliższą uwagę całej prawie prasy, na to poważne zgromadzenie uczonych, i wywołały pewne zniecierpliwienie opinii publicznej, i dość nieprzyjemne przemówki, drwinki *minorum gentium*.

Pierwszym z tych wypadków był wybór lejtenanta marynarki Viaud'a, na członka tej akademii, na wakujące miejsce po śmierci Oktawiusza Feuillet'a; drugim, przyznanie summy 20.000 fr. (premium pięcioletnie), za najlepsze dzieło lub za najlepsze pismo ogłoszone drukiem, w ciągu ostatnich lat pięciu.

Wybór p. Viauda, piszącego pod pseudonimem Piotra Loti'ego, wywołało w pewnych sferach, prawdziwe oburzenie Akademia Francuzka dotąd rzadko otwierała swe wrota pisarzom powieści. Najpotężniejsi z nich w bieżącym stuleciu, Balzac i Dumas ojciec, nie byli dopuszczani do tego zaszczytu; a oto młody oficer marynarki, autor kilku powiastek zręcznie i gładko napisanych, skoro się ukazał na scenie, wnet został wybrany!

Było w tem coś przeciwnego wyobrażeniom tujejszym a kładąc na szali tyle znanych dziś imion powieściopisarzy, z których każdy może stać śmiało narówni z Piotrem Lotim, a trzech lub czterech przynajmniej przenosi go o wiele blaskiem stylu, czystością języka i wielkością talentu pisarskiego, trzeba przyznać, że zadziwienie było tem ważniejsze, że oprócz powieści „Ryba-

cy z Islandyi“, wszystkie inne nowelki Viaud'a, grzeszą przeciw czystej moralności i przyzwoitości, w dość gruby sposób.

Zkąd więc to powodzenie i ta łatwość wskoku na opróżniony fotel powieściopisarza również, ale jakże różnego co do moralnej tendencji pism swoich? Najzłośliwszy z przeciwników tego wyboru podsuwa zjadliwie, że nowo obrany akademik, była to kandydatura kobieca, że pan Viaud po śmierci Ludwika Ulbacha, zajął miejsce korektora znanej Carmem Sylva, i że ten wpływ znakomitej poetki, wraz z poparciem właścicielki nowego przeglądu „La Revue Nouvelle“, pani Adam'owej spowodował taki przewrót w głowach i sercach akademików, iż kandydatura pana Viauda wyszła zwycięzko z rozprawy 18 głosami na 35 wotujących, po sześciu nawrotach.

Jakkolwiek bądź p. Viaud, czy jest kobietą, czy nie kreaturą, jest młody, ma talent i łatwość pisaną, a jak się młode piwo wyszumi, może z tąd wyjść pisarz który dowiedzie raz jeszcze że akademia miała słusność, wraz z Panem Bogiem, uczynić tak jak tego chciały kobiety, jeżeli były w tem kobiety?

Ledwie ucichła podniesiona z powodu tych wyborów wrzawa, aż oto ta sama akademia wywołała nowe pioruny i gniewy, tem groźniejsze, że tą razą niechodzą o kandydata do wakującego krzesła, ale o kandydata do nagrody *pieniężnej*.

Premium, albo nagroda 20.000 fr., przysądzana co lat pięć, według zdania specjalnej komisji winnaby się dostać w tym roku księciu de Broglie.

Zapewne, całość prac literackich ogłoszonych przez ks. de Broglie, jego ostatnie dzieło: „Maryja Teresa“ zasługują na najwyższe nagrody instytutu, jednakże zauważono nie bez racji, że to pięcioletnie premium, zdawało się być specjalnie przeznaczonem dla przyjszcia w pomoc autorowi, którego zawód przy niezaprzeczonej użyteczności poświęcony został długiem i stałem powodzeniem.

W łonie samego instytutu, myślano zrazu przysądzić to wdowie po s. p. Fustel de Coulanges, którego cały żywot poświęcony pracy, sumiennej i uczonej, nie zaznał uśmiechów i faworów fortuny. Zdawało się, że to votum potwierdzą wszystkie głowy Akademii.

Dlaczego ten pierwszy projekt został porzucony? Dlaczego w tem solennem przyznaniu, w którym Akademia marszałkuje samowolnie i samowładnie, zastąpiono imię najniższego członka Akademii, imieniem najbardziej wpływowego nieśmiertelnika? Nikt tego nie wie, ale wielu żałowało tej zmiany.

Kiedy tak stały rzeczy, niespodzianie na następnym posiedzeniu Akademii kwestya podniesiona o przysądzenie premium ks. de Broglie, została rozwiązana w najprostszym sposobie. W chwili kiedy miano głosować ostatecznie, wręczono sekretarzowi stałemu Akademii p. Doucet'owi list własnoręczny ks. de Broglie, w którym ten oświadczył, iż rzeka się zaszczytów jakie mu raczyła wyświadczyć komisya pięcioletniego premium, proponując go do tej wielkiej i pięknej nagrody.

Kwestya więc oddania tej nagrody znowu została otwartą, tem bardziej, że dekret Cesarski 20 Grudnia 1860 r. przeznaczą nagrodę 20.000 franków: „dziełu, albo wynalazkowi, który najwłaściwiej przyniesie zaszczyt, albo odda usługę krajowi, i który dokonany będzie w ostatnich dziesięciu latach“.

Wśród takich-to okoliczności specjalna komisya Akademii podała do jej wyboru nowego kandydata, którym był p. Elizeusz Reclus, znany uczony geograf. Ta propozycya spowodowała nowe votum. Ale Akademia Francuzka, po ostatnich sporach za i przeciw, nie miała odwagi przyznać tej nagrody jednemu ze swych członków. Zkądinąd, niechęć się rzucić z jednej ostateczności w drugą, przyznając ją p. Elizeuszowi Reclus, obrała pośrednią drogę, i na posiedzeniu dnia 18 go Czerwca, po zdaniu sprawy specjalnej komisji postanowiła, że do tej nagrody przedstawi prace literackie s. p. Fustel de Coulanges. Tym sposobem potrafiło ominąć wszelkie trudności. Dodać tu należy, że

p. Reclus, znany równie ze swej erudycyi jako geograf, jak ze swych skrajnych opinii, od roku 1871 mieszka w Szwajcaryi, jako dawniejszy członek Komuny Paryzkiej.

Ostateczna decyzja w tym względzie zapadła w Lipcu, na kwartalnym posiedzeniu Instytutu, i ta decyzja, jak łatwo przewidzieć, będzie zastosowaną do postanowienia Akademii Francuzkiej, o której mówiło się wyżej.

Tymczasem dobrze jest przypomnieć czytelnikom „Bluszczu“, w jaki sposób i komu nagroda powyższa udzieloną została, od początku swego założenia, do dzisiejszej chwili.

w 1861—p. Thiers (wybór Akademii Francuzkiej,

w 1865—p. Oppert (wybór Akademii, napisów i „belle lettres“.

w 1865—p. Wurtz (wybór Akad. Nauk).

w 1867—p. Felicyan David (wybór Akademii Sztuk Pięknych).

w 1869—p. Henryk Martin (wybór Akademii nauk moralnych i politycznych).

w 1871—p. Guizot (wybór Akademii Francuzkiej).

w 1873—p. Mariette (wybór Akademii napisów).

w 1875—p. Paweł Bert (wybór Akad. Nauk).

w 1877—p. Chapu (wybór Akademii Sztuk Pięknych).

w 1879—p. Demolombe (wybór nauk moralnych i politycznych).

w 1881—p. Dezydery Nisard (wybór Akademii Francuzkiej).

w 1883—p. Paweł Meyer (wybór Akademii napisów).

w 1885—p. Brown Séquard (wybór Akademii Nauk).

w 1887—p. Antonin Mercié (wybór Akademii Sztuk Pięknych).

w 1889—wdowa pani Caro, za dzieła swego męża (wybór Akademii nauk moralnych i politycznych).

Z tego spisu pokazuje się, że wszyscy laureaci byli wzięci poza instytutem, przez Akademię: nauk, sztuk Pięknych, napisów i belletrystyki, nauk moralnych i politycznych. Sama tylko Akademia Francuzka, wybierała ich dotąd wśród swoich członków, zapewne aby uniknąć zarzutu, że premiuje dzieła autorów, któregooby nie dopuściła do zajęcia miejsca na jednym z czterdziestu nieśmiertelnych foteli.

Nowa książka poety w dzisiejszych czasach realizmu — to rzecz mogąca zadziwić, ale książka takiego poety jak Wiktor Hugo, zmarłego wielkiego poety, to prawdziwy fenomen! Książka ta nosi za tytuł to niezmiernie słowo: *Bóg* — Bóg, jakim go pojmował ten potężny myśliciel, któremu nie brakło ani śmiałości słowa, ani zuchwałstwa myśli. Panie! — mówili starzy Hebrajczycy — przemawiaj do nas przez twych proroków, przez twych kapłanów, ale nie przemawiaj sam, abyśmy nie pomarli z trwogi! Na szczęście nasze z tej książki przemawia do nas tylko poeta, będziemy więc żyć, ale do książki nie wrócimy więcej. Rozbierać ją to próżne dzieło, wiersze, rymy, że stali kute rymy — ale Boga nie widać! i nie mogło być inaczej, bo pod koniec poeta myślał, że sam jest Bogiem, kiedy tamtego nieznalazł.

Cały Wiktor Hugo Legendy wieków, Kontemplacyi i Pierwszych Poezyi, znajduje się w tej księdze i takim widzimy go w ostatnich jej słowach. Autor, który roztacza czarne i białe skrzydło, zbliża poszukującego do Boga, ale mu go nie pokazuje. Śmiech przelatuje w przestrzeń, w której on się podnosi wyżej i wyżej! Jakby biała zasłona rozciąga się nad głową jego i głos doń przemawia... i pyta: Czego chcesz i czego szukasz, nędzny robaku? Czego chcesz? Odpowiadaj!

Oui! criai-je.

Et je sentis

Que la création tremblait comme une toile.
Alors, levant un bras, et d'un pan de son voile,
Couvrant tous les objets terrestres disparus,
Il me toucha le front du doigt.

Et je mourus.

Jersey, 1855.

Rozbierać tego, analizować niepodobna, trzeba

zostawić w spokoju — de mortuis aut bene, aut nihil...

Tembardziej należy to powtarzać dzisiaj, kiedy swawolne stworzenia kopią nierozważną nogą zwłoki poety. Wyszyły dwa tomy Rapsodu. Autor?... już zapomniałem jak się nazywa — ten rozebrał cały żywot Hugona i pokazał, czegośmy nie pragnęli zobaczyć... poetę w szlafroku i w pantoflach, w cudzych pantoflach! Może on być złym, złym i małym człeczkiem, ale jego złotych rymów, niestety, zębem Zoila nie skruszysz!

Wszystko przechodzi! Oto Kalmann Lévy, jego wydawca, umarł nagłą śmiercią, a dzieła poety przetrwają wieki... Oto Roumanille, poeta prowansalski, jeden z założycieli Felibrów, skończył równie żywot, a pieśń prowanska unosi się nad jego mogiłą. Żyje i żyć będzie!!

λ.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Experymenta na ludziach. — Telautograf. — Zaćmienia słońca i księżyca.

Niezwykle wrażenie, jakie wywołało odkrycie prof. Rudolfa Kocha, sprowadziło poprostu jakiś stan nerwowości, który udzielił się wielu badaczom, a nie pozostał bez wpływu na prasę i ogół społeczeństwa. Wielu chce się dziś dobić sławy i majątku, wielu pragnie być pierwszymi w rozpowszechnieniu wiadomości, a bardzo wielu wzdycha do możliwości skorzystania z odkrycia — do wyleczenia się!

Skutkiem tego rozpowszechniają się dziś wieści, które dawniej nie przekraczały ścisłego kręgu specjalistów, i przybierają kolosalne, często wielce przesadne rozmiary, utrudniające przedstawienie faktów naukowych w ich właściwym świetle.

Jest jeszcze jedno złe, o którym dziś pomówić zamierzaliśmy: oto dzieją się poprostu nadużycia, wyrządzające szkodę zdrowiu, albo nawet sprowadzające śmierć.

Mówiliśmy już dawniej o gorączkowym prowadzeniu doświadczeń nad suchotnikami. Na szczęście, spostrzeżono się dosyć wcześnie, zaniechano prób gwałtownych i dziś sprawa ta weszła na drogę właściwą, na jakiej odrazu bezwarunkowo znaleźć się była powinna.

Niedawno prof. Cornil zawiadomił paryżką akademią medyczną o dokonanych próbach zastrzykiwania tworów rakowatych w zdrowe tkanki organizmu, a to w celu przekonania się: czy możliwym jest w ten sposób sztuczne wywołanie nowotworu. Akademia uznała próbę podobną za czyn barbarzyński, a co więcej, zupełnie bezużyteczny, dawniejsze bowiem doświadczenia wykazały dowodnie, że zaszczerpione zwierzętom częsteczki nowotworu rakowatego wywoływały u nich analogiczną chorobę. Pokazało się następnie, że próby były dokonywane w Niemczech.

Niedługo potem oskarżono głośnego berlińskiego profesora Bergmanna, że dokonywał podobnych prób na ludziach. Oświadczył on podobno, iż w rzeczy samej przed pięciu laty, za zgodą swojej pacjentki, której dni były policzone, przedsięwziął próbę. Nie podlega wątpliwości, że tą drogą można osiągnąć znakomite zdobycze naukowe i że badania na zwierzętach nie zawsze dają się przeprowadzić z taką ścisłością, z jaką można ich dokonywać na ludziach; w rzeczach jednakże tego rodzaju wypada przede wszystkim kierować się względami ludzkości. Bezmyślne zastrzyknięcie w zdrową tkankę jakiejś substancji chorobotwórczej jest czynem bezwarunkowo karygodnym i nieludzkim.

Praktyki tego rodzaju, bądźco bądź, wydarzają się dziś coraz rzadziej, a eksperymen-
ta z tuberku-

liną Kocha dają smutną naukę, jak oględnym należy być w podobnych wypadkach.

Przy sposobności nie od rzeczy będzie przypomnieć próby dokonywane dawniejszymi czasami, próby pożyteczne dla medycyny, ale opłacone życiem wielu bardzo istot ludzkich.

Znane są powszechnie próby dokonywane między 1831 a 1837 przez francuzkiego lekarza Ricorda, które wyświetliły wiele faktów do owego czasu ciemnych.

Niemieccy lekarze znowu wyjaśnili powstawanie solitera, spożywając mięso węgrowate wieprzy. I tego naturalnie nikt wzbronnie nie może lekarzowi wykonywającemu doświadczenia na własnym organizmie, z narażeniem zdrowia i życia: owszem poczytanem to mu być musi za najwyższą zasługę.

Znane są również doświadczenia wykonywane z lasecznikiem cholerycznym. Pewien lekarz wypił szklankę wody zawierającej te miłe istotki i wyszedł z tej próby zupełnie zdrowo, dla higieny cholery było to doświadczenie bardzo ważnem, wykazało bowiem, że laseczniki w zdrowym (kwaśnym) soku żołądkowym giną.

Takich doświadczeń możnaby przytoczyć setki, i przemawiają one stanowczo na korzyść lekarzy, poświęcających się dla dobra nauki a względnie dla dobra cierpiącej ludzkości.

Bez doświadczeń tego rodzaju postępy w sztuce leczenia byłyby żadne, albo tylko bardzo powolne, i wiele środków, których chemija w ostatnich czasach dostarczyła, pozostałoby nieużytkowanymi. Że w takich razach zbytnia gorliwość i gorączkowość pacjentów przyczynia się do ujemnych wyników, wykazał niedawno już wyżej wspomniany środek Kocha, którego zastosowania domagało się w sposób prawdziwie szturmujący tysiące chorych, zanim go dokładnie wypróbowano. Jeżeli zatem wina ciąży na lekarzach, to i publiczność nie jest zawsze bez winy.

Gorączka tego rodzaju istniała zresztą po wsze czasy a podlegali jej nierzadko najgenialniejsi lekarze, hołdujący starej maxymie: *experimentum fiat in corpore vili*.

Jeden z najwybitniejszych anatomów starożytności, Hierophilos z Alexandryi, zrobił wiwisekcję na 600 ludziach skazanych na śmierć. W celach naukowych badacz ten otwierał nieszczęśliwym tym brzuchy i obserwował ruchy trzewi, lub rozcinał klatkę piersiową i badał uderzenia serca. W czasach starożytnych panujący oddawali stale swym lekarzom skazańców dla wykonania na nich studyów naukowych. Mitrydat, król Pontu, podstępnie truty niejednokrotnie przez Rzymian, wskutek tego dostawszy manii prześladowczej, w ciągłej obawie otrucia, wszystkich skazanych na śmierć oddawał w ręce swych przybocznych lekarzy dla wykonania na nich doświadczeń z wówczas znanymi truciznami i przeciwtruciznami. Wielu lekarzy owych czasów narzeka, że „tylko lekarze dworscy są w możności dokonywania doświadczeń na ludziach, tymczasem oni ograniczają się „muszą na krajaniu psów i kur“.

Dziś lekarze wyłącznie robią doświadczenia na zwierzętach, a dopiero, przekonawszy się o nieszkodliwości środka z jednej, a o możliwych korzyściach z drugiej strony — przechodzą do prób na człowieku.

W ostatnich czasach nadużycia w tym względzie wydarzały się dosyć często, lecz w każdym razie są to wyjątki, dotyczące jednostek, które, jak powiedzieliśmy, dotknięte jakąś nerwową chęcią zdobycia sławy, a także i fortuny, popełniają czyny nielogiczne a czasami wprost karygodne.

*

*

*

Podczas gdy znakomity Edison zajęty jest udoskonaleniem swego *cynetografu*, przyrządu, którego zadaniem ma być przenoszenie obrazów: a zasadzającego się na kombinacji fonografu z fotografią, profesorowi amerykańskiemu Elisha Gray, iudało się po dwuletnich studyach wynaleźć przyrząd, który nazwał *telautografem*.

Wynalazek uczonego amerykańskiego ma być w samej rzeczy zadziwiającym. Według zape-

wnienia dzienników można przy jego pomocy przysłać drutem telegraficznym kopią własnoręcznego pisma, zamiast umówionych znaków, jak to czyni telegraf. Odbierający zatem depezę będzie miał w ten sposób wierne odbicie kreślonego pisma w odległości setek, a nawet tysięcy, mil — a więc własnoręczny dokument zamiast wersyi telegrafisty, często bardzo mylnej. W ten sposób uniknie się z pewnością wielu niespodzianek, zawodów a nawet przykrości i nieszczęść.

Podobno nietylko *fac-simile* pisma da się za pośrednictwem telautografu przysłać; to samo stosuje się do wszelkiego rodzaju rysunków, portretów, które w mgnieniu oka będą przysyłane na największych przestrzeniach.

Podstawę tego wynalazku stanowi dzisiejszy telegraf, a zatem telautograf będzie tylko jego udoskonaleniem.

Wkrótce wprawione będą w ruch wielkie wytwornie nowego przyrządu w Highland-Park w Chicago i rozpocznie się już na dobre współzawodnictwo z obecnie używanym sposobem przysyłania depeż. Niedaleka przyszłość wykaże, czy wynalazek profesora Gray'a odpowiada swemu przeznaczeniu.

*

*

*

P. Kowalczyk podaje we *Wszelchwicie* (N-r 26) r. b.) kilka ciekawych szczegółów o zaćmieniach obserwowanych w Warszawie między 10 Maja a 6 Czerwca r. b. Wiadomość te powtarzamy: W dniu 10 Maja, w godzinach rannych przypadło przejście planety Merkurego przez tarczę słońca. Zjawisko to rozpoczęło się jeszcze przed wschodem słońca i dlatego nie mogło być widzianem w całkowitym swym przebiegu; dopiero po wschodzie, przy pogodnym niebie, widać było na dolnej części tarczy słonecznej ciemną, regularną i okrągłą plamę wielkości małego ziarenka grochu. Była wprawdzie jeszcze inna plamka na przeciwnej stronie tarczy słonecznej, lecz ta stała nieruchoma i nie miała tak wyraźnych, jak tamta, zarysów. Obserwator mógł też odrazu rozpoznać, którą z dwóch plamek uważać potrzeba za Merkurego, a którą za rzeczywistą plamę słoneczną. W podobnych razach nie robi się pomyłki, gdyż zwykle naprzód oblicza się czas zjawiska i miejsce, gdzie ono ma wystąpić. Jak powolne było przesuwanie się planety przez tarczę słońca, można z tego ocenić, że średnica Merkurego, wynosząca 6,7 sekund łuku, potrzebowała blisko pięciu minut czasu do zniknięcia na brzegu słońca; dlatego też całe zjawisko, od niewidzialnego u nas początku aż do końca trwało około pięciu godzin i w tym czasie przebiegł Merkury na tarczy słonecznej cięciwą 60 razy większą, aniżeli jego średnica.

Podobne przejście przez tarczę słoneczną odbywać także może planeta Venus, a w ogólności czynić to mogą tylko takie planety, których droga naokoło słońca jest mniejszą od drogi naszej ziemi. Przejścia Wenusy wydarzają się daleko rzadziej, aniżeli Merkurego, który może ich odbyć w ciągu wieku kilkanaście (w XVIII wieku było ich 17, a w bieżącym 13); gdy tymczasem na przejście Wenusy wraz z powrotem czekać potrzeba przeszło 100 lat. Zjawisko takie mieliśmy w roku 1874 dnia 8 Grudnia a potem w roku 1882 dnia 6 Grudnia. Następne przejścia będą ludzie mogli obserwować dopiero w d. 7 Czerwca 2004 r. i 5 Czerwca 2012. Przejście Wenusy przez słońce w ośm lat powtarza się powrotnie a w obu przejściach, stanowiących całość zjawiska, zawsze wydarza się tylko albo w Czerwcu albo w Grudniu.

Merkury nie okazuje takiej prawidłowości; jego przejścia przytrafiają się co 6 lub co 7 lat w Maju albo w Listopadzie, w tych miesiącach bowiem przechodzi planeta przez węzły swojej drogi. Obserwowanie przejść Merkurego służy głównie do sprawdzenia tablic, podług których oblicza się jego bieg. Z daleko ważniejszych dla nauki przejść Wenusy wyprowadza się odległość ziemi od słońca, czyli jest to, że tak powiemy, ów łokieć, za pomocą którego wymierzają się odległości planet i ich księżyców.

Drugim zjawiskiem obserwowanym w Warszawie przez profesora Kowalczyka było całkowite zaćmienie księżycyca w dniu 23 Maja wieczorem, które także rozpoczęło się przed wschodem księżycyca i ztąd też jego początku nie widzieliśmy w Warszawie. Nie było też widać ani śladu owego czerwonego światła, w którym pokazuje się najczęściej tarcza księżycyca w czasie całkowitego zaćmienia. Mogło to pochodzić albo ztąd, że chmury przy poziomie zakrywały widok tego światła, albo też, że księżycyca w rzeczy samej zupełnie zniknął w cieniu ziemi, jak to czasami już dawniej obserwowano. Dopiero w końcu całkowitego zaćmienia, o godzinie 8 minut 50, pokazał się mały sierp księżycyca, szybko się zwiększając, a o godzinie 10 jaśniał już księżycyca całym swym blaskiem, gdyż chmury zupełnie ustąpiły i zaćmienie dobiegło do końca.

Trzecim zjawiskiem było częściowe zaćmienie słońca w dniu 6 Czerwca; towarzyszyły mu wprawdzie chmury, lecz niezbyt gęste, i dlatego nie bardzo przeszkadzały obserwacji.

Początek zanotowano o godzinie 6 minut 18 sekund 16, koniec o godzinie 7 minut 49 sekund 50. Można też było uważać znikanie plam słonecznych, których gromadka znajdowała się na tarczy słońca i stopniowo była przez księżycyca zakrywana. Ponieważ zaćmienie nie było wielkiem, gdyż nie zajmowało ani połowy tarczy słonecznej, a prócz tego przytrafiło się blisko zachodu słońca, przeto ani w temperaturze ani w blasku dziennym nie można było dostrzedz znacznej różnicy.

Przejścia planet przez tarczę słońca i zaćmienia tegoż są zupełnie podobnymi zjawiskami; cała różnica polega na tem, że planety są od ziemi bardzo odległe i małemi swemi tarczami zasłaniają nieznaczną część słońca, księżycyca zaś z powodu swej bliskości może tarczę jego zakryć całkowicie. Dostrzeganie zjawisk, o których tutaj była mowa, ma na celu ciągle sprawdzanie teorii, na której opiera się rachuba ich zapowiedzi; tym bowiem tylko sposobem astronomia, jako nauka ścisła, zyskać może jaknajwiększą doskonałość.

Dr. Józef Starkman.

Nad brzegiem Dunaju,

(Epizod z wojny 1809 roku).

Świeżo wydany w Paryżu drugi tom pamiętników dzielnego oficera francuzkiego, generała de Marbot, zawiera zajmujący obrazek z dziejów wyprawy Napoleona I, ciągnącej na Wiedeń na czele zawsze prawie dotąd zwycięskiej swej armii. Zatrzymano się na odpoczynek niemal u wrot już Wiednia, w małym miasteczku Molk, nad samym brzegiem rzeki. Skalista, prosto w górę strzelająca wyżyna, dźwigała na sobie powyżej stary, słynny z ogromnych bogactw klasztor Benedyktynów, którego bramy musiały się otworzyć przed Francuzami. Tu Napoleon rozłożył się na noc, z całym swym przybocznym orszakiem, wśród którego znajdował się marszałek Lannes, sztab zaś cesarski ulokował się poniżej, na plebanii, gdzie proboszcz miejscowy przyjął ich misiał gościnnie. Ale zaledwie roztarasowano się, i zaczęto zabierać się do kolacji, przybył ordynans marszałka z rozkazem, aby Marbot stawiał się w kwaterze cesarskiej. Deszcz, lejący od dni kilku, wskutek czego Dunaj wezbrał ogromnie, nie ustawał, lecz żołnierzowi, wyższej czy niższej rangi nie wolno myśleć o spoczynku wobec rozkazu władzy wyższej, i tu musiało się tak stać. Marbot pośpieszył natychmiast do klasztoru, którego doly zajęte były przez grenadyerów i szasserów gwardyi cesarskiej; oczekujący tu na niego officer służbowy kazał mu iść za sobą do cesarza, co zaciekać go mogło i zaciekało.

— Jestem pewny kollego, że dostaniesz awans, zostaniesz szefem szwadronu—rzekł ów officer do przybyłego, lecz Marbot, choć sprawiał się dzielnie w ciągu ostatnich dni wyprawy, nie przypuszczał przecież, aby cesarz wzywał go do siebie o te czasy, dla oznajmienia mu awansu. Wprowadzono go, jak opisuje w książce swojej, do ogromnej, pysznej przez strukturę i urządzenie galeryi z balkonem, wychodzącym na Dunaj. Cesarz siedział u stołu, jadł kolacyę mając obok siebie prócz kilku marszałków i opata klasztoru, dostojnika mającego tytuł biskupi. Tak miejsce jak zebrani u stołu biesiadujący przedstawiali obraz, nie często dający się widzieć, a cesarz, skoro tylko ujrzał wchodzącego, wstał skinął na marszałka Lannes, i tak we trzech wyszli na balkon. Lannes szedł za cesarzem i cichym głosem coś odradzał, ale Napoleon słuchać go nie chciał. Ogromny balkon był oszklony, na rozkaz cesarza Lannes otworzył jedno, z jego szerokich okien i ukazał się oczom widok niepowszedni. Rzeka, wezbrana od ulewy, nieustającej ani na chwilę, rozlewała się szeroko, wiatr silny pędził gwałtownie toczące się z szumem fale i była chwila, że cesarz pod wrażeniem tego widoku zawahał się na chwilę w zamiarze swoim. Marbot usłyszał go mówiącego do marszałka, że rzecz jest niewykonalna, ale odpowiedź brzmiała uspakajająco.—Jestem pewny, Najjaśniejszy Panie, że nasz zuch się nie cofnie, że pójdzie, gdzie każesz i zrobi wszystko, jak należy...

Marbot stojący na boku spojrzął w głąb krajobrazu; gdzie widać było wśród ciemności i deszczu połyskującego po drugiej stronie Dunaju ogniska rozłożonego tam obozu austriackiego. Lannes go w tem objaśnił, dodając, że pragnieniem cesarza jest dowiedzieć się, czy znajduje się tam i korpus generała Hillera, czy też pozostał on jeszcze z tej strony rzeki?

— Aby się o tem dowiedzieć napewno, trzeba aby ktoś z dzielnych, ktoś mających odwagę w sercu, znalazł się tam w jaknajkrótszym czasie na czele małego oddziału i napadłszy Austriaków z boku, porwał kilku żołnierzy i przywiódł ich tu przed cesarza — kończył Lannes. — Upewniłem Jego Cesarską Mość, iż waćpan, panie kapitanie, dokonasz tego — dodał, a gdy Marbot ogłuszony niejako niespodziewaną propozycją marszałka, patrzył na niego milcząc, Napoleon przysunął się bliżej. — Proszę uważać, że to nie jest bynajmniej rozkaz—rzekł. — Nie rozkaz, ale życzenie, wyrażone tak, że możesz je waćpan odrzucić, nie ściągając na siebie bynajmniej mego niezadowolenia...

— Nie jest to rozkaz—powtórzył i dodał, że namysł jest potrzebnym. Mówił to bardzo łagodnie, zakończając propozycją, aby młodzieniec przeszedł do pobocznego skrzydła galeryi i namyślił się, a potem dopiero odpowiedział, czy się zgadza, lub nie...

Marbot przynajmniej, że zimny pot wystąpił mu na czoło przy pierwszych wyrazach marszałka, ale słowa Napoleona kazały uderzyć gorąco jego sercu.—Uczucie, którego trudno mi określić—pisze—a w którym pragnienie sławy, miesząc się z miłością dla Francyi, pierś mi podnosiło. Jakto!—powiedziałem sobie—cesarz ma tu na rozkaz swój 150.000 ludzi dzielnych, ma przyboczną swoję gwardyi 25.000 wybranych między najmężniejszymi; otacza go sztab adjutantów, officerów ordynansowych, a przecież na tą wyprawę, gdzie trzeba być nie tylko mężnym, ale rzutkim, inteligentnym, mnie wybiera, a ja mam nie przyjąć...

— Najjaśniejszy Panie! — zawołałem też natychmiast, bez jednej minuty namysłu — spieszę, spieszę zaraz... Jeżeli przecież nie wrócę, weź Najjaśniejszy Panie matkę moję w opiekę...

— Coś mi wtedy wzruszyło się w piersi—kończy w „Pamiętnikach”—ale cesarz poklepał go po ramieniu, Lannes podał mu rękę i zawołał:—A cóż! czy nie mówiłem, że to zuch... i rzecz została postanowioną. Cesarz kazał przywołać generała Bertranda, który był jego adjutantem na służbie, generała Dorsenne, dowodzącego gwardyą grenadyerów i rozkazał im przywołać burmistrza miasteczka, i z nim pięciu najrzeczniejszych przewoźników przez Dunaj, oraz siedmiu grenadyerów z kapralem. Zuchy te, bo wszystko

były to zuchy, stawili się najpierw i żaden nie zawahał się ani na jedno oka mgnienie. —Niech żyje Cesarz!.. —odpowiedzieli, a Napoleon poklepał każdego po ramieniu, przyrzekając, że po powrocie, każdy z nich otrzyma krzyż Legii Honorowej. Inaczej było z przewoźnikami; starszy ich cechu, który przybył z nimi, powiedział cesarzowi zaraz na wstępie, że lepiej rozstrzelać ich zaraz na miejscu, niż wysłać na śmierć pełną w nurtach wody, bo nie tylko wzburzone fale groziły porwaniem, zatopieniem łodzi, ale Dunaj niośł nieobliczoną ilość sosen, świeżo wyciętych w lasach, któremi zarastały okoliczne góry, a których pnie porwała i uniosła powódź strumieni i rzeczek okolicznych, wpadających do Dunaju. W ciemności nocnej i przy takim stanie wezbrania, niepodobna jest wyminąć niesionych przez wodę kłoców. Ale gdyby nawet i nie to niebezpieczeństwo, to jak przybić do przeciwnego brzegu, zarosłego gęsto brzoziami, których korzenie, wystające na stokach wybrzeża, mogą przy rzutach fal rozpruć łódź, przedziurawić ją tak, że wraz z ludźmi, pójść musi na duo?

— Ale cesarz nie cofnął postanowienia. Przyrzekł każdemu z uczestników wyprawy po 6.000 fl. w złocie, kazał przynieść sobie te pieniądze i rozsyłał je przed oczyma kuszonych blaskiem złota ludzi, ale ludzie skusić się nie dali. Była tu obawa śmierci, ale być musiało i nieprzychylnie uczucie dla Francuzów, niechęć służenia przeciw swoim. Tłómaczono nierozumiejącym po-francuzku słowa cesarza, przecież odpowiedzi przeczące nie dały czekać na siebie, ani chwili jednej. —Nie, nie... wołano — za nic w świecie nie pójdziemy z dobrej woli na śmierć pewną.

Kapral, którego dodano Marbotowi, umiał polniemiecku i przemówił do starszego tłómacząc mu że skoro wola wyższa zmusza nas do czegoś, opór jest daremny i ze względu na własne niebezpieczeństwo należy mu wybrać łódź dużą i możliwie najlepszą, jak się też stało. Marbot pochodził z Południowej Francyi, gdzie widział jak rybacy tamtejsi umieją zręcznie przyczepiać do silnych sznurów ciężkie kamienie, które rzucane na brzeg ułatwiają ludziom wyładowanie, i unieruchamiają do pewnego stopnia łódzie tak że fale szamotać niemi nie mogą i dna ich nie orzą już skalistego gruntu nadbrzeża. Chętnie czy niechętnie wyszykowano się prędko, zabrano coś żywności, sznury, siekiery, drabiny—wszystko czego tylko przezorność ludzka mogła żądać od wyprawy nocnej przy takich okolicznościach. Gdy już miano siadać do łodzi, biedni przewoźnicy prosili, aby im pozwolono pójść pożegnać się z żonami, z dziećmi, bo los chciał, że wszyscy byli żonaci. Marbot przecież nie mógł przystać na to. Wtedy starszy poprosił o jedną jeszcze łaskę, której mu już nie odmówiono: pięć minut czasu na pomodlenie się, na oddanie duszy swojej Bogu. Biedacy poklekli wszyscy, a za nimi żołnierze francuzcy i sam Marbot, wzruszony, jak przyznaje. Nakazał on żołnierzom, aby wykonywali w milczeniu wszystko, co im powie starszy, który sam sterował. Pęd wody był za wielki aby można było przybić wprost do przeciwnego brzegu, przepływając Dunaj w poprzek. Trzeba było płynąć z jakie pół mili francuzkiej wzdłuż, co mimo wielkiego pędu wody odbyło się szczęśliwie. Trzymano się wciąż brzegu, ale gdy trzeba było nakoniec puścić się wkroś przez rzekę, musiano spuścić maszt, ale ten zamiast położyć się wzdłuż łodzi, został przez wiatr tak skierowanym, że padł w poprzek i żagiel maczając się dołem w wodzie a górą przez wiatr rozdęty, przeciwstawiał się pędowi rzeki, co sprawiło takie przechylenie się łodzi, że był moment w którym omal nie pogrążono się w wodę. Sternik nakazał jaknajprędzej odciecie masztu, ale nikt go nie usłuchał, modlono się wniebogłose i wtedy kapral wyjął pałasz z pochwy:

— Módlcie się — zawołał — ale módlcie się przy robocie, kto nie usłucha, dostanie pałaszem w kark... zabiję go...

Biedaczyska zrozumieli, że to nie żarty i wzięli się prędko do toporów; maszt padł wkrótce pod razami i zepchnięto go w wodę. A stało się to w sam czas, bo w tej chwili łódź otrzymała silne pchnięcie: potracił ją pień niesionej przez rzekę

sosny. Bogu dzięki, że potrafił tylko — uderzył jednym końcem, mijając, ale czy będzie tak zawsze? Fale zakrywały wierzch kłoców i poznać je było można tylko po szerokiej bruździe wody, którą wyorywały. Niejeden raz uczuliśmy potrącenie, szczęśliwie przecież żadne nie było niebezpiecznym; ale pęd wody rwał nas wzdłuż rzeki, a przeznaczeniem wyprawy było przebić się w poprzek i dostać się na brzeg przeciwny. Zdało się — pisze Marbot — że nas uniesie, że obóz nieprzyjacielski zostanie w tyle, a wtedy przedsięwzięcie było chybione; gdy naraz ukazał się wśród rzeki, jakiś ogromny kształt czarny: łódź dostała się wkrótce pod jego cień pośpny, coś musnęło płynących po twarzach i łódź naraz stanęła.

Znaleźli się, jak objaśnił sternik, na zatopionej wyspie Dunaju, której sam szczyt pozostał jedynie, stercząc gałęziami swych drzew nad wodą. Trzeba było wziąć się do siekier i rąbać po ciemku tę gałęzie, które uwieźli chcieli nocnych podróżników, ale choć po-ciemku dało się to dokonać szczęśliwie, a po drugiej stronie wyspy pęd fal okazał się mniej gwałtownym i łódź przybiła do lewego brzegu rzeki, wprost austriackiego obozu. Brzeg ten był zarosły drzewami bardzo gęsto, gałęzie ich wysuwały się naprzód i tworzyły ponad wodą ciemnik bardzo wdzięczny, który wśród nocy utrudniał przybicie statku w miejscu odpowiednim, ale z drugiej strony zasłaniał wyprawę przed oczyma nieprzyjaciela. Ognie austriackich biwaków oświecały rzekę, bijąc z podwyższenia, ale samo wybrzeże było zaciemnione; gdy naraz dał się widzieć oczom mostek, spuszczaający się pochyło od wybrzeża, aby ludzie i konie, gdy poić je chciano, mogli wygodnie dostać się do wody. Wtedy-to wydostano owe kamienie, obwiązane sznurami; kapral, mężczyzna silny, cisnął tak zręcznie jeden z nich między brzozy, że padając daleko umocował się między drzewami o tyle, iż łódź przystanęła. Cicho było dokoła. Austriacy, ufnego w warowność swego obozu, spali smacznie i czuwały tylko szyldwachy.

Jest to przecież ogólnym regulaminem w czasach wojny, że nie tylko armaty wylotem, ale i strażę są zawsze zwrócone twarzą w stronę, z której nieprzyjaciel przybyć może, i bateria wzniesiona przed frontem obrazu miała lufy dział wycelowane wprost na rzekę, a żołnierze na szyldwachach posuwając się tam i napowrót, patrzyli w stronę wody, ale z podwyższenia brzegu, zatem widzieli lepiej środek Dunaju niż miejsce wylądowania. Aż dotąd wszystko sprzyjało wyprawie; aby przecież skutek uwieźnił dzieło trzeba było pochwycić jednego z tych ludzi a wykonać to należało tak o pięćdziesiąt kroków od kilkutyśięczonego wojska nieprzyjaciela, aby żaden głos, ust wołających na trwogę, żadne hasło alarmu nie zbudziło załogi. Była to rzecz napozór niepodobna do wykonania, jednak trzeba było ryzykować. Marbot wydał rozkaz, aby pięciu z pomiędzy grenadyerów, którzy stanowili siłę zbrojną wyprawy, i pięciu majtków, położyło się cicho na dnie łodzi, nie wydając swojej tam obecności. Kapral otrzymał rozkaz zabicia na miejscu każdego, kto zechce się podnieść, lub wyszeptać choćby słowo jedno. Jeden z grenadyerów umieszczony był u dzioba łodzi, zwróconego w stronę ziemi a sam Marbot wysiadł na ląd z pałaszem w rękę i z eskortą dwóch ostatnich grenadyerów swej siły zbrojnej. Wypadło tak, że łódź zatrzymała się w pewnym oddaleniu od brzegu i trzeba było wejść w wodę na kilka stóp głęboko, przecież dostano się szczęśliwie, ale tu grunt podniósł się w okop wysoki, na któ-

ry trzeba było nie tylko się dostać, ale rzucić się na najbliższego szyldwacha, odebrać mu broń, zakneblować mu usta, związać ręce i zaprowadzić na statek, gdy naraz jakiś szczepek metaliczny i przyciszony śpiew półgłosem uderzył w ucho przybyszy. Był to młody chłopak, ordynans officerski, niósł na plecach kociołek blaszany i przyspiewywał sobie z cicha piosenkę, może swoich okolic rodzinnych. Spuścił się wybrzeżem nad rzekę, klęknął i zaczął czerpać wodę, i w tej-to chwili, kapral i dwóch grenadyerów tworzących eskortę Marbota, rzuciło się na niego, Ścisnąjąc mu ręką gardło, zapchano mu usta zmoczonym piaskiem nadrzecznym i, przykładając koniec płaszcza do piersi zagrożono mu śmiercią, jeżeli uczyni jakikolwiek ruch mający na celu wyswobodzenie się i ucieczkę. Chłopak był młody; przestraszył się niespodziewanego napadu i dał prowadzić się posłusznie w stronę wybrzeża, gdzie mu kazano się położyć obok majtków na ziemi.

Wkrótce nastęrczyła się zdobycz ważniejsza. Dwóch żołnierzy szło również po wodę do rzeki, niosąc na drąg kociołek, także dla zaczerpania wody; i tych zdobyto w podobny sposób, gdy się schyliłi ku rzece. Wszystko szło jak z płatka; już wrócono na statek i z tryumfem szykowano się do odbicia, gdy jakiś dźwięk zdradził ich napastników wobec najbliższego szyldwacha. Zabrzmiało hasło trwogi, jeden dźwięk trąbki odpowiadał drugiemu i cicha wysepka zabrzmiała hasłami alarmu. Wkrótce huknęła armata, a serce Marbota uderzyło dumą. Huk będzie niezawodnie słyszany w Mölk; Napoleon, Lannes dowiedzą się, że to on ze swoją garstką kilku grenadyerów zyskał sobie zaszczyt armatnich strzałów fortecy austriackiej. Pewne niebezpieczeństwo groziło przecież jeszcze wyprawie. Dunaj rozlewał szeroko wezbrane swe wody, drzewa z gór płynęły zawsze na wzburzonych jego falach; wschodzące słońce oświecało już przecież przedmioty, a na dopełnienie tryumfalnego efektu tego szczęśliwego powrotu dała się słyszeć poranna pobudka kawalerii francuskiej. Ale huknął wkrótce wystrzał muszkietu — huknął jeden i drugi, strzelały tak nadbrzeżne forpoczty francuskie, a nie było na statku flagi do wywieszenia. Ale rozległ się na to miejsce okrzyk z piersi zwyciężkich wiarusów: — Vive la France! Vive Napoléon!.. zabrzmiało w powietrzu a za chwilę statek przybywszy do brzegu spotkał tam czekający go już oddział dziewiątego pułku huzarów z pułkownikiem Gautrin na czele. Salutowano powracających, krzyczano im: Vive l'armée française! Na dopełnienie szczęścia i tryumfu męźnych śmiałków przekonano się, że trzej uprowadzeni jeńcy należeli do korpusu generała Hillera, więc cel wyprawy został najdoskonalej dopięty.

Napoleon prawie natychmiast po wyjściu na ląd wyprawy zajął się osobiście badaniem jeńców, bo pokazało się z ich odpowiedzi, że arcyksiążę Karol znajdował się z całą swoją armią na lewym brzegu Dunaju i wyszedł też wkrótce z kwatery głównej rozkaz, aby zwinięto obóz i wyruszone w kierunku Pöltenu. Przed wymarszem Marbot, on i siedmiu grenadyerów, otrzymali krzyż Legii Honorowej z przywiązaną do tego orderu pensją dożywotną 1.200 franków, a nagrodę przewoźnikom zdwojono: otrzymali, nie 6.000, ale 12.000 franków. Wesoła nastąpiła chwila w obozie francuzkim. Nietylko pieniądze i zaszczyty otrzymane cieszyły bohaterów dnia tego: cała armia miała rozradowane serca — cieszone się ze spełnionego bohaterskiego czynu żołnierzy służących pod sztandarem Francji, w powietrzu była radość, było zadowolenie du-

cha wesołe; gdy naraz Napoleon, który znów stanął na oszklonym balkonie benedyktyńskiego klasztoru, spostrzegł, że jeden z pomiędzy jeńców stał na uboczu pod krzakiem i płakał — płakał gorącymi łzami ciężkiej boleści. Cesarz posłał natychmiast officera służbowego, aby mu przyprowadzono płaczącego. — Co ci jest? zapytał — czy ci zrobiono tu krzywdę jaką, czy się boisz jakich przykrości? ale młodzieniec potrząsnął głową. — Nie — odparł — nie lękał się o siebie, o swój dobrobyt, bo wiedział, że Francuzi nie obchodzą się okrutnie z jeńcami, ale miał przy sobie pieniądze — pieniądze swego kapitana, który mu je zwierzył do przechowania. Byli z jednych stron; kapitan nie chciał ich mieć przy sobie, aby w razie śmierci na polu bitwy, nie przepadły dla jego rodziny, a teraz... teraz mniemać może, że on uciekł, unosząc powierzony mu depozyt i to mu rozdziera serce.

Cesarz położył rękę na głowie młodzieńca i przyrzekł mu, że jego niewola skończy się wkrótce. Nie mógł wypuścić zaraz teraz, bo wpadłby niewątpliwie w ręce przednich straży francuzkich i był ujęty znowu, ale za dwa dni, gdy armia stanie pod Wiedniem, rozkaże go natychmiast odprowadzić do obozu austriackiego, z kądem biedak dostanie się już bezpiecznie do swego pana, lub będzie mógł donieść mu co się stało, i że pieniądze jego są bezpieczne. Oprócz tego cesarz wyjął ze skrzynki swej przyboecznej rulon luidorów obejmujący 1000 franków i dał go chłopcu. — „Trzeba uszanować cnotę, wszędzie, gdzie się znajdzie“ — rzekł do adjutanta służbowego, który był temu przytomny.

Kronika działalności kobiecej.

— Królewiczowa duńska Ludwika założyła w Kopenhadze przed laty kilku szkołę sług, wyrażając się na zebraniu niewieścim, zwołanem przez nią w tym celu, że „jest to obowiązkiem sumienia kobiety klas wyższych, aby szkoła taka istniała“. Dziewczyna prosta, zwykle bardzo młoda, wychodząc z domu rodziców na chleb własny pracując, nie zna jeszcze świata, i jak młodość każda jest nieopatrzna, a przytem nie uzdolniona dostatecznie do obowiązków, jakie bierze na siebie, nie pojmującą stosunków życia wśród których przeniesiona zostaje nagle, jest narażona na wiele niebezpieczeństw i trosk ciężkich. W szkole wspomnianej otrzymują dziewczęta naukę czytania, pisania, religii i moralności, ucząc się obok tego gotować, prać, prasować, sprzątać pokoje i czyścić sprzęty domowe. Szkoła utrzymuje się w zasadzie siłą własną, bo pracą uczennic. W roku zesłany miała 11.500 koron dochodu; uczennice od lat czternastu do ośmnastu, płacą szkole po 10 koron miesięcznie, to jest płaci za nie zarządowi królewiczowa Ludwika z prywatnej swej szkatuły. Szkoła ma, jak w klasztorze, matkę przełożoną i trzy jej pomocnice w zarządzie.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Do motylka, (wiersz), przez Kazimierza Glińskiego. — Garbuska. Powieść, przez Michała Bałuckiego (dalszy ciąg). — Przegląd Teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Nowiny Paryżkie. — Z działu przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. Józefa Starkmana. — Nad brzegiem Dunaju. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 35 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

**Spódniczka dla pańienek od 7 - 9 lat.
Drutowa robota.**

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 30.

Spódniczka wykonana na grubych drutach białą bawełną, składa się z dwóch części, połączonych z sobą z lewej strony, szwem, okrętką. Pierwszą połowę rozpocząć od dołu na założeniu 18 oczek, jak następuje.—1 kolej: 15 oczek zwyczajnie, nawinąć, 2 ocz. razem przerobić, nawinąć, 1 ocz. zwyczajnie.—2 kolej: 4 ocz. zwyczaj., 15 odwrotnie.—3 kolej: 16 ocz. zwyczaj., nawinąć, 2 ocz. razem przerobić, nawinąć, 1 ocz. zwyczaj.—4 kolej: 20 ocz. zwyczaj.—5 kolej: 15 ocz. odwrotnie, 2 ocz. zwyczaj., nawinąć, 2 ocz. zwyczaj. razem przerobić, nawinąć, 1 ocz. zwyczaj.—6 kolej: 21 o. zwyczaj.—7 kolej: 18 o. zwyczaj. nawinąć, 2 o. zwy. razem przerobić, nawinąć, 1 o. zwyczaj.—8 kolej: 7 o. zwyczaj., 15 o. odwrot.—9 kolej: 22 o. zwyczaj.—10 kolej: 4 o. odczepić, 17 o. zwyczaj.—11 kolej: 15 o. odwrotnie, nawinąć, 2 o. razem przerobić, nawinąć, 1 o. zwyczaj.—12 kolej: 19 o. zwyczajnie.—13 kolej: jak 3 kolej.—14 kolej: 5 o. zwyczaj., 15 o. odw.—15 kolej: 17 o. zwyczaj., nawinąć, 2 o. razem przerobić, nawinąć, 1 o. zwyczaj.—16 kolej: 21 o. zwyczaj.—17 kolej: 15 o. odw., 3 o. zwyczaj., nawinąć, 2 o. razem przerobić, nawinąć, 1 o. zwyczaj.—18 i 19 kolej: 22 o. zw.—20 kolej: 4 o. odczepić, 2 o. zwyczaj., 15 ocz. odwrotnie.—21 kolej: jak 1 kolej.—22 kolej: 19 o. zwyczaj.—23 kolej: 15 oczek odw., 1 o. zwyczaj., nawinąć, 2 o. razem przerobić, nawinąć, 1 o. zwyczaj.—24 kolej: 20 o. zwyczaj.—25 kolej: 17 o. zwy., nawinąć, 2 o. razem przerobić, nawinąć, 1 o. zwyczaj.—26 kolej: 6 o. zwyczaj., 15 o. odw.—27 kolej: 18 o. zwyczaj., nawinąć, 2 oczka razem przerobić, nawinąć, 1 o. zwyczaj.—28 kolej: 22 o. zwyczaj.—29 kolej: 15 o. odwrot., 7 o. zwy.—30 kolej: 4 o. odczepić, 17 o. zwyczaj.—Powtórzyć jeszcze 8 razy 1 do 30 kolej, następnie jeszcze 1 do 10 kolej, poczem odczepia się wszystkie oczka. Z brzeźnych oczek tego szlaku przybiera się napowrót na drut 120 ocz. i przerabia się z prawej strony jak następuje:—1 kolej: wprost 2 do 4 kolej. Wszystkie oczka powinny z prawej strony wyglądać jak odwrot. wykonane.—5 kolej: Wszystkie oczka powinny się przedstawiać jako prawa strona roboty.—6 kolej: Ciągłe naprzemian. 1 ocz. zwyczaj., 1 ocz. odwrot.—7 do 23 kolej: Ciągłe naprzemian: oczko które wygląda jak na prawo wykonane, —te zaś co odwrotnie było wykonane zwyczaj.—24 kolej: jak 5 kolej.—25 do 28 kolej: tak jak 2 do 5 kolej.—29 kolej: (Prawa strona roboty) * 5 oczek od-

wrot., 1 o. zwy., 1 o. odw., 1 o. zwy., od * powtórzyć.—30 kolej: 1 o. zwy. i naprzemian: 1 o. odwrot., 7 o. zwy., w końcu 6 zwy.—31 kolej: * 1 o. odw., 3 o. zwy., 2 razy naprzemian: 1 o. odw., 1 o. zwy., od * powtórzyć.—32 kolej: 1 o. zwy., * 1 o. odw., 2 o. zwy., 3 o. odw., 2 o. zwy., od * powtórzyć, w końcu 1 o. zwy. powtórzyć 14 razy 29 do 32 kolej, poczem jeszcze raz 29 i 30 kolej, następnie wykonać jedną kolej, jak 5-tą i 38 kolej, jak na wzorze ciągle naprzemian: 2 o. zwyczajnie, 2 o. odwrotnie. Następuje 1 kolej jak 5, i jedna kolej, w której należy oczka gubić, w ten sposób, że każde 2 oczka należy razem przerabiać, uważając, aby robota na prawą stronę była wykonywana. Poczem 3 koleje jak 2 do 4 kolej, i rząd oczek na dziurki; ciągle naprzemian: nawinąć, 2 o. razem przerobić, następnie 3 koleje także same, jak wykonane przed dziurkami, i odczepić wszystkie oczka. Drugą połowę spódnicy wykonać w ten sam sposób, lecz aby utworzyć rozprek, należy ostatnie 25 kolej przerabiać w dwóch połowach. Przez dziurki spódnicy w górnym brzegu należy przeciągnąć sznurek wykonany szydełkiem i zakończony kwastami.

Fartuszek dla pańienki od 10 - 12 lat.

Rycina Nr 22 i 23 w Bl. Nr 30. (Krój odwrot. str. tabl. Nr XIII, fig. 59-62).

Skrajać z surowego płótna według fig. 56 i 60

po jednej części złożonej wzdłuż środka, według fig. 61 po dwie części, według fig. 62 rękawy z uwzględnieniem konturów spodu, fig. 60 i 61 należy przydłużyć w kierunku strzałek (mniej więcej na 75 centim.). Przyszyć do przedniej części fartuszkę z każdej strony w miejscu oznaczonym dwukropkiem, szarfkę na 78 cent. długą a 10 c. szeroką, ułożoną w fałdki, w końcu której ma być przyszyty, następnie zeszyć boki fartuszkę, zmarszczyć górny brzeg pleców od brzegu do *, górny brzeg przodu od † do † i wszyć w karczek podwójnie skrajany, ozdabiając takowy białą wypustką. Wykroj szyć objąć listewką, zakończoną białą wypustką. Rękawy zmarszczyć od * do *, obszyć listewką, zszyć je i połączyć z fartuszkami.

Fartuszek dla pańienki od 6-8 lat.

Rycina Nr 24 i 25 w Bl. Nr 30. (Krój odwrot. str. tabl. Nr XIV, fig. 63-64).

Skrajać z dymki białej w szafirowe paski podług fig. 63 jedną część złożoną wzdłuż środka, podług fig. 64 dwie części, przydłużając je w kierunku strzałek (mniej więcej na 65 cent. dług.). Przyszyć z przodu kieszeń podług wzoru, oraz w oznaczonym miejscu szarfki 55 cent. dług., 7 cent. szer., zmarszczone nieco z brzegu, następnie połączyć boki fartuszkę, zaokrąglić dolny brzeg z boku i wykończyć podług ryciny.

Farfuzek z jedwabnego materiału.

Rycina Nr 29 w Bl. Nr 30.

Skrajać z surowego jedwabnego materiału fartuszek na 62 centim. długości a 60 cent. szerokości, zaokrąglić nieco brzegi, obdzierać takowy brązowym jedwabiem i obszyć falbaną 7 cent. szer. na bokach a 10 c. u dołu, również obdzierganą brązowym jedwabiem. Zmarszczyć górny brzeg fartuszkę 6 razy na 18 centim. szerokości i wszyć w pasek z brązowej wstążki, z której sutą kokardę umieścić na boku.

Bluzka z batystu dla młodej pańienki.

Rycina Nr 33 w Bl. Nr 30. (Krój odwrot. strona tabl. Nr X, fig. 40-45).

Bluzkę, którą wzór nasz podaje, wykonać można z batystu, jak również lekkiej wełny i flanelki, forma ta nadzwyczaj wygodna, nadaje się jako ubranie dla pańienek przy wszelkiej zabawie, do której ruch jest konieczny. Skrajać podług fig. 41 dwie części, podług fig. 43 i 44 po jednej, podług fig. 45 dwie części, wszystkie złożone wzdłuż



Nr 1. Suknia letnia.

Nr 2. Suknia letnia dla młodej pańienki.

środką, ostatnią z uwzględnieniem konturu spodu rękawa, fig. 44 podwójnie. Zmarszczyć górną część przodu i pleców kilka razy pomiędzy liniami, przyfastrygować do podszewki skrajanej według fig. 40 i 42, zszyć je podług cyfr, i zaopatrzyć z przodu w haftki i koniki. W kołnierzyku wykonać nacięcie wzdłuż podwójnej linii, połączyć brzegi tegoż z klinem na 4 cent. szerokim, przyfastrygować kołnierz do bluzki, zmarszczyć dolną część od środka i od przedniego brzegu do * i wszyć w pasek 7 cent. szeroki a około 79 c. długi, zapinający się z lewej strony i zakończony rozetą. Rękawy zmarszczyć u dołu między liniami na 20 cent. szerokości, podszyc zmarszczenia listewką, zmarszczyć w górze między dwukropkami i wszyć je do bluzki.

żyłkę wolną następnego oczka przedostatniej kolei, najbliższe ocz. poprzedniej kolei opuścić. — 4 kolej jak 2. Powtarzać otrzymaną stosownej szerokości, kołderki, naprzemian 3 i 4 kolej, lecz uważając na deseń wzoru, którego paski powinny się mijać. Przewleka się wstążkę przez rząd słupków jak wskazuje rycina Nr 35. Chcąc obejść się bez wstążki, można także otrzymać ładny deseń; używszy odmiennego koloru włóczki na kolej ścisłych oczek, którą się wykonywa na lewej stronie roboty, jak przedstawia ryc. Nr 34. Frendzlę wykonać z pomponików i przyszyć takową w około kołderki.

kardą z atlasu zielonego („Vert-Nil“). Spódnica spodnia z jedwabnego materiału tegoż koloru wyziera z pod tego podpięcia. Stanik fularowy marszczony skrzyżowany z przodu; pasek z zielonego atlasu zapięty, na boku zakończony węzłem. Rękawy bufiaste, bardzo wąskie w dole, przewiązane na łokciu wstążką. Kapelusik z fularu zielonego, ubrany girlandą róż polnych i egretką z białych piór; parasolka zastosowana do koloru sukni.

Suknia letnia dla młodej osoby.

Rycina Nr 3.

Suknia do ziemi w kliny, skrajana z fularu lub lekkiej wełny paskowego koloru w różowe prążki. Stanik krótko skrajany ukośnie, zapięty z tyłu a z przodu zmarszczony i ozdobiony węzłem. Rękawy o jednym szwie bufiaste na ramieniu, skrajane ukośnie. Kapelusik z białej ażurowej słomki ubrany białą koronką i polnemi różami. Parasolka z białej koronki, rękawiczki duńskie.

Kołderka na kołyskę lub wózek dziecienny.

Rycina Nr 34 i 35 w Bl. Nr. 30.

Kołderka wykonana szydełkiem białą grubą włóczką okręconą jedwabiem, przewleczona różową wstążeczką na 2½ centim. szeroką i obrobiona frendzlą z pomponów. Wykonać na założeniu oczek odpowiedniej długości. — 1 kolej: Pierwsze ocz. opuścić i 1 ścis. oczko w każde oczko. — 2 kolej: 1 pow. oczko, ciągle 1 ścis. ocz. w przednią żyłkę najbliższego oczka. — 3 kolej: 2 pow. ocz. i naprzemian 1 ścis. ocz. w przednią żyłkę najbliższego ścis. o. poprzedniej kolei, 1 słup. w



Nr 3. Poszewka na poduszkę z narożnikami wykonanymi szydełkiem.

Poszewka na poduszkę z narożnikami wykonanymi szydełkiem.

Rycina Nr 3 i 4.

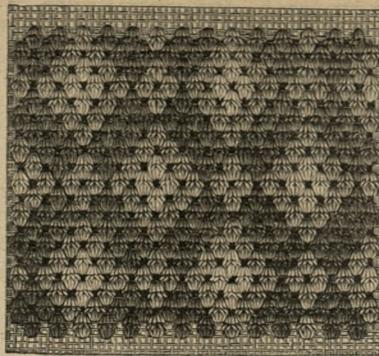
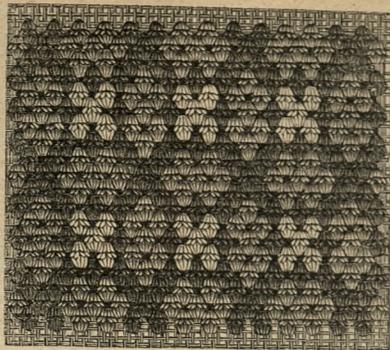
Poszewka wykonana z cienkiego płótna, formy kwadratowej, ozdobiona po rogach narożnikami, które wykonać szydełkiem jak następuje: Każdy narożnik krętą bawełną Nr 60 rozpocząć na założeniu 225 oczek jak następuje, tam i napowrót. — 1 kolej: 11 ocz. opuścić, 1 ścisłe oczko w następ. ocz., 3 pow. ocz., 1 słupek w 3 z rzędu ocz. (następnie tło), 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 3 z rzędu ocz., 3 pow. ocz., 1 słup. w 3 z rzędu ocz., następnie wykonać 34 wzorki figury. — 2 kolej każdego wzorka, tak jak na ryc., ale powyżej każdego wzorka fig. ciągle 5 pow. ocz. i pojedyncze słup. w obydwie żyłki. Inne zaś słup. każdy w przednią żyłkę odpowiedniego ocz., oprócz tego przy rozpoczęciu kolei, zamiast 1 słup. wykonać 3 pow. ocz., na zakończenie na ukośnej stronie narożnika, zamiast 5 ostatnich pow. ocz., 2 pow. ocz. i 1 podwój. słup. w 8 z rzędu oczek. Dalej kolei tej powtarzać nie będziemy i opiszemy w następnym wzorku tylko kolej powrotną. 2 wzorek: 3 pow. ocz., 1 słup. w następ. słup., 3 wzorki fig., 12 słup., ale przy zakończeniu 6 z tychże wykonać figurę liściową złożoną z 4 listków, na co 1 listek z 7 pow. oczek, z których 6 przyczepić do dolnej prostopadłej żyłki 13 słup. 1 kolei 2 wzorku, na tychże powracając 1 ścis. ocz., 4 słup., 1 ścis. ocz. w 6 do 1 z tychże. Następnie 3 listki wykonać tak samo, ale 2 listek przyczepić do odpowiedniej żyłki, ostatnie zaś 2 listki wykonać nie przyczepiając, co uskutecznić przerabiając w następnym wzorku przy odpowiedniej żyłce. Potem 1 ścis. list. ocz. w 1 pow. o. fig., oczko z szydełka spuścić, i przerobić w słup., od którego rozpoczęta fig. Napowrót wziąć oczka na szydełko przez żyłkę słup., a potem 12 słup. zakończyć, 3 razy na przemian 6 wzorków fig., 12 słup. jak poprzednio „en relief“ potem 5 wzorków fig. — 4 wzorek: 3 pow. ocz., 1 słup. w następ. sł., 4 wzorki tejże fig., 6

Suknia letnia.

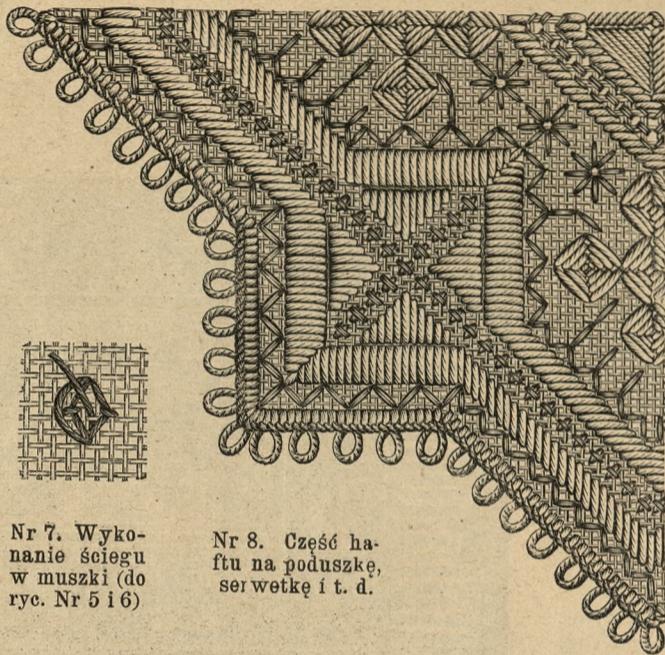
Rycina Nr 1.

Spódnica z fularu, na tle kremowego koloru rzuczone gałązki jasno-zielone, nieco zmarszczona z przodu, z tyłu zaś ściągnięta mocno, podpięta fantazyjnie z boku piękną k o-

slup., 4 wzorki teje fig., * 6 slup., 6 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 slup. w 2 z rzędu ocz., potem 6 slupków, 4 wzorki teje figury, od * powtórzyć jeszcze dwa razy. — 5 wzorek: 3 pow. ocz., 1 slup. w następn. slup., 4 wzorki teje fig., * 6 slup., 2 wzorki teje fig., 6 slup., 12 razy naprzemian, 1 pow. oczko, 1 slup. w 2 z rzędu ocz., od * jeszcze dwa razy powtórzyć, potem 6 slup., 3 wzor. teje fig. — 6 wzorek: 3 pow. ocz., 1 slup. w następn. slup., 4 wzorki teje fig., 12 slup., * 7 razy naprzemian: 1 pow. oczko, 1 slupek w 2 z rzędu ocz., poczem 4 pow. ocz., 1 podwój. slup. w 4 z rzędu ocz., 4 pow. ocz., 1 slup. w 4 z rzędu ocz., 7 razy naprzemian: 1 pow. oczko, 1 slup. w 2 z rzędu oczek, potem 12 slup., od * jeszcze dwa razy powtórzyć, potem 1 wzorek teje figury. W drugiej kolei tego wzorku zamiast 7 razy ciągle 6 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 slup. wykonać a zamiast 4 pow. ocz. przedzielonego pow. slup. wykonać 2 ścis. ocz. przedzielone 1 pow. ocz. po obydwóch znajdujące się pow. oczka tegoż podwójnego slup.—7 wzorek: 3 pow. ocz., 1 slup. w następn. slup., 3 wzorki teje fig., 12 slup. „en relief,” * 6 razy naprzemian: 1 pow. ocz., 1 slup. w 2 z rzędu ocz., potem 4 pow. ocz., 1 ścis. oczko w następn. ścis. oczko, na muszkę 5 slup. w następn. podwój. slup. 1-ej kolei poprzedniego wzorku, który przyczepić do poprzedniego ścis. ocz., 1 ścis. oczko w następn. ścis. ocz., 4 pow. ocz., 1 slup. w następn. slup., 6 razy naprzemian: 1 pow. oczko, 1 slup. w 2 z rzędu ocz., potem 12 slup. fig. „en relief,” od * 2 razy powtórzyć, poczem 1 wzorek teje fig. (2 kolej odpowiada kierunkowi 1-ej kolei poprzedniego wzorku). Tym sposobem wykonać względnie do ryc. wzorek rogu, dopóki wszyst-



Nr 5 i 6. Desenie na tło w muszki (do ryc. Nr 7).



Nr 7. Wykonanie ścięgu w muszki (do ryc. Nr 5 i 6)

Nr 8. Część haftu na poduszczkę, serwetkę i t. d.

i z powrotem w ukośnym kierunku * jeden ściąg wzdłuż i wszerz na prawo, nitkę przyciągnąć, przeprowadzić igłę nad najbliższymi na prawo będącymi czterema krzyżującymi się nitkami w odwrotną stronę, poczem w pionowym kierunku pod najbliższymi 2 nitkami na lewo na zewnętrzną stronę, od * powtórzyć; rząd powrotny wykonać z prawej strony pierwszego rzędu tak jak pierwszy, a pierwszy jego ściąg powinien wypadać nad 2 gim poprzedzającego. Zewnętrzny brzeg otoczyć bawełnianym żółtawym stanikiem ułożonym w pentelki i przymocowanym dzierganym haftem wykonanym kordonkiem.

Farfuszek z perkalu w rzucik.

Rycina Nr 11.

Skrajać fartuszek z jasno-niebieskiego perkaliku w białe paski i kolorowy rzucik na 77 cent. szerokości a 66 cent. długości. Obzycie takowy u dołu plisowaną falbaną na 11 cent, szeroką, ułożyć górną część w zakładki tak, aby pozostało 25 cent. szerok. i ubrać w górze uplisowaną falbaną na 6½ cent. szeroką, ułożyć spiczasto. Brzeg jej przykrywa listewka z perkalu. Napierśnik skrajać na 27 cent. długości, 38 cent. szerokości, ułożyć go w górze na 18 cent. szerokości, u dołu na 9 centim. w fałdy zwrócone ku sobie, wyciąć nieco w górze w sposób zaokrąglony i ubrać falbaną na 6 centim. długości a 24 centim. szerokości, zmarszczone w górze i w dole zdobia fartuszek.



Nr 9. Suknia z fularu w deseń i aksamitu. (Opis odwr. str. tabl.)

kie oczka nie zostaną przerobione. Brzeg zewnętrzny otoczyć 3 kolejami jak następuje: — 1 kolej: ciągle naprzemian: 1 slup. w następn. oczko, 1 pow. ocz., 1 ocz. opuścić. Przy rogach należy ocz. przybierać, ażeby robota nie ściagała się, nakoniec 1 ścis. łań. ocz. w 1 slup. — 2 kolej: ciągle 1 ścis. ocz. w każde ocz. — 3 kolej, jak kolej 1.

Desenie na tło, ścięgiem w muszki.

Rycina Nr 5, 6 i 7.

Tło stosownie do przeznaczenia można wykonać na grubej lub cienkiej niedzielonej kanwie, jedwabiem lub włóczką. Tło na ryc. Nr 5 wykonane jest jedwabiem koloru jasno-oliwkowego i poziomkowego w dwóch odcieniach, oraz jasno-żółtego. Ryc. Nr 6 jedwabiem paskowego koloru, żółtym i niebieskim. Każdy punkcik wykonać jak wskazuje ryc. Nr 7, na 4 nitkach wzdłuż i wszerz; najpierw wykonać wzdłuż środka 1 ściąg przez 4 nitki wzdłuż i przymocować takowy małym poprzecznym ścięgiem do 1-ej z 4 nitki szerokości; następnie wykonać jeszcze takiż sam ściąg przez te same 4 nitki długości i przymocować go do ostatniej nitki szerokości, poczem wykonać jeszcze dwa długie ścięgi tym samym sposobem, przy czem należy dwie środkowe nitki szerokości użyć jako poprzeczne ścięgi.

Część haftu na poduszczkę, serwetkę i t. d.

Rycina Nr 8.

Wykonać można haft na kanwie „congrès” żółtawego koloru, kordonkiem tegoż koloru i złotymi niemi. Płaski ściąg wykonać jedwabiem, resztę podwójną złotą nitką. Ażurowy deseń środkowych figur wykonać podwójną złotą nitką tam



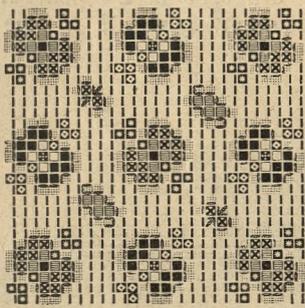
Nr 10. Suknia z bengaliny i wełnianego muślinu. (Opis odwr. str. tabl.)



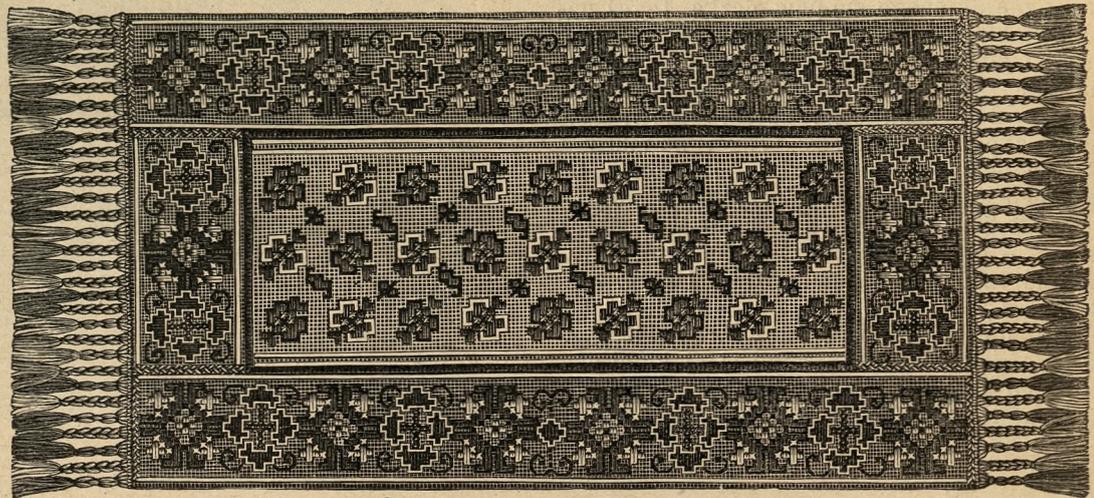
Nr 12. Część szlaku do patarafki Nr 13 (wielkość naturalna).



Nr 13. Patarafka ze sznelowemi kwiatami.



Nr 15. Desenik na dywanik przed łóżko Nr 14. Objaśnienie znaków: * brązowy, □ „crème”, □ miedziany, □ różowy, □ oliwkowy, ■ granatowy.



Nr 14. Dywanik przed łóżko. Ścieg: płaski, krzyżowy, Holbejn'a i robota wiazana.

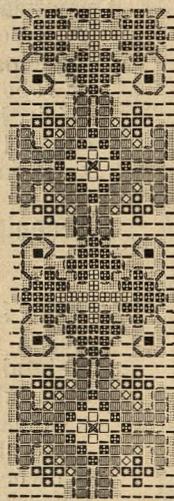
Patarafka z sznelowemi kwiatkami.

Rycina Nr 13.

Patarafka wykonana z sukna ciemno-oliwkowego koloru, wycięta w ząbki wokół, i ozdobiona szlakiem sznelowych kwiatów. Przenieść desen podług ryc. Nr 13 na sukno i wykonać szlak ze szneli medalionowej białej, „viel-or“ i poziomkowego koloru w dwóch cieniach. Powycinać medalioniki i użyć je jako listki, przyszywając końcem w sposób na rycinie przedstawiony. Ażeby lepiej przymocować listki, należy wewnątrz kwiatka wykonać ścięgi gałązkowe brązowym jedwabiem, przymocowując każdy listek; i ozdobić następnie środek supelkowym ścięciem jaśniejszym jedwabiem. Liście wykonać szarzieloną, oliwkową i brązową filozelą w kilku odcieniach ścięciem gałązkowym i rybiej luszczyki. Podszewkę dać z lekkiego jedwabnego materiału.



Nr 11. Fartuszek z perki liku w rzucik.



Nr 17. Szlaczek do dywanika Nr 14. Objaśnienie znaków: ■ ciemno-brązowy, □ złoty brązowy, □ niebieski, □ miedziany, □ oliwkowy, □ „crème”, □ różowy.



Nr 16. Frenzla do dywanika Nr 14 (2/3 oryginalnej wielkości).

łyżek tartej, przesianej, suchej bułki, wymieszać, zostawić tak przez kwadrans, podać w sosierce do sztuki mięsa lub pekeflejszu. Konserwuje się dni parę. Ogrzewać nie trzeba. L. C.

Przepisy gospodarskie.

Sos z porzeczek czerwonych i chrzanu do sztuki mięsa.

Pół funta porzeczek czerwonych przetrzeć przez sito, aby tylko pestki i skórki zostały, w sosierkę włożyć kilka kawałków cukru, wlać parę łyżek wody, aby cukier się rozpuścił, wlać w to sok z porzeczek, utrzeć na tarce kawałek chrzanu, wsypać także i rozmieszać, dodać jeszcze parę

Obiad na Niedziele.

1. Rosół z ryżem.
2. Sztuka mięsa z ogórkami.
3. Groszek zielony z kotlecikami z mózdzku.
4. Kurczęta z sałatą.
5. „Charlotte russe“ w cieście biszkoptowym.

DOŚWIADCZENIA PRAKTYCZNE.

Na blacie marmurowym nie należy nigdy krajać cytryny, gdyż to jest jedyny kwas, który psuje marmur, niszcząc jego polerowanie.

UWAGA.

Tablica krojów objaśniająca wzory ubiorów i robót w N-rze 29 i 30 „Bluszczu“ służy też do N-ru dzisiejszego.